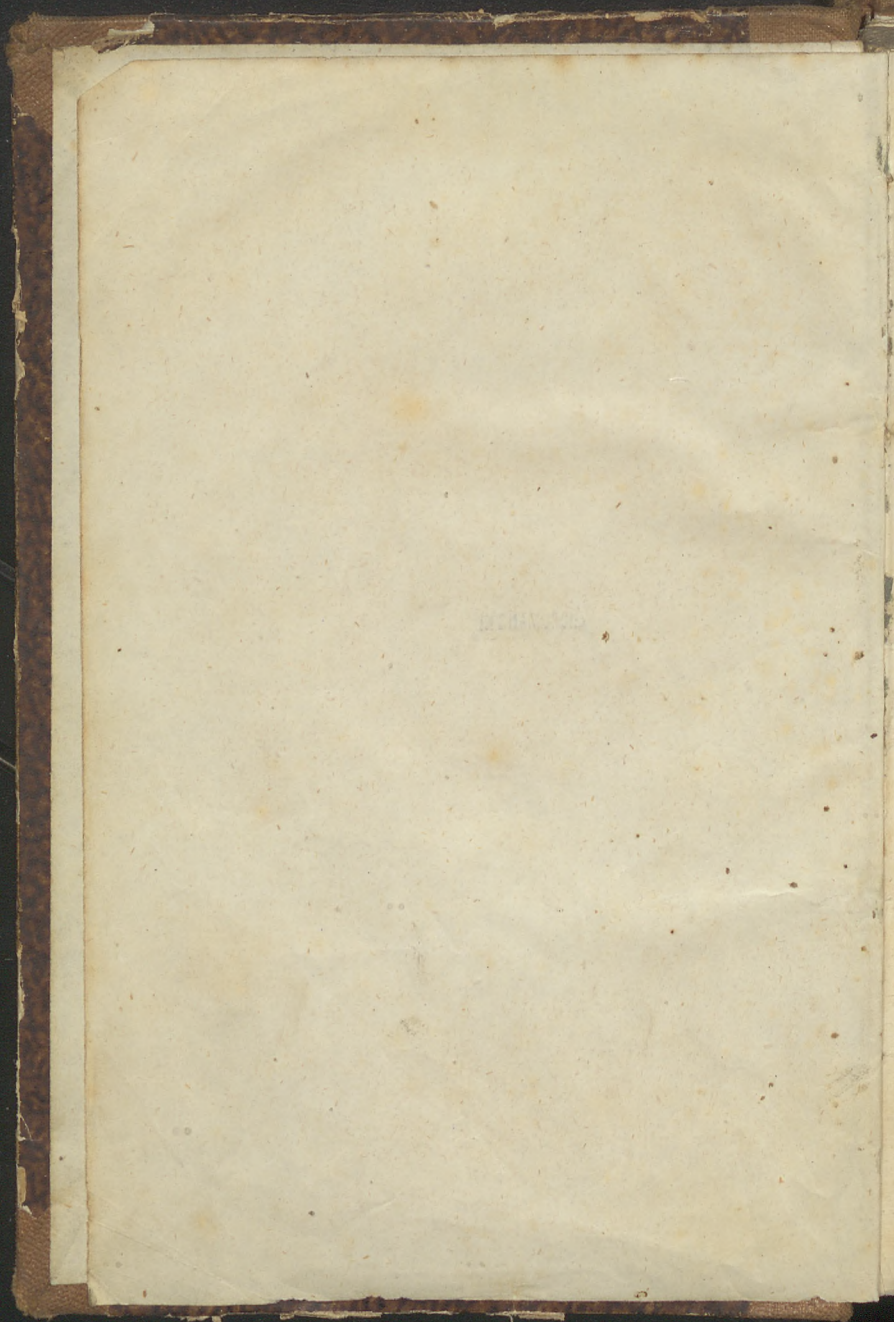


T 1.577. 193

CHOROMANSKI



BAJKI,
POWIASTKI, OBRAZKI
I WIERSZYKI MORALNE

DLA --

DZIATEK RÓŻNEGO WIEKU

NAPISAE

Tomasz Minasowicz.

Def.: 60. b. 15-22.

WARSZAWA.
Nakładem Z. SZTEBLERA, Księgarza
przy ulicy Krak.-Przedm., w Domu Rząd.
Urzędu Loteryi Nr. 1319.

1857.

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001001767153

Wolno drukować, pod warunkiem, złożenia w Komitecie
Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exem-
plarzy.

Warszawa d. 9 (21) Czerwca 1856 r.

Cenzor, Radca Dworu, *Stanisławski*.



T 1577.193

w Drukarni *Alexandra Gins*, Nr. 755.

2006 K 562/9

KILKA SŁÓW

DO MOICH MAŁYCH CZYTELNIKÓW.

Z Boską pomocą, zasilać wasz umysł kochane
działki;— rozkrzewiać i utwierdzać w sercach cno-
ty; to było moją dążnością i celem, w jakim to pi-
smo w darze wam przynoszę.

Zebrałem te nasionka z serca, i pełnem téż ser-
cem, bo szczerem w ofierze składam.

Święcić dla was pracę, w nadziei, iż ona błogą
i pożądaną korzyść przyniesie; iż te skromne
ziarnka życzliwą podane ręką, wydadzą plon obfity;
to jedyną tylko stanowić będzie pociechę i zadowo-
lenie, jakich w nagrodę od was oczekuję.

Jeżeli więc one z pożytkiem w sercach waszych
zasiejecie; o zawiercie mnie drogie sercu memu
dziatki, iż podwoję natenczas usiłowania; aby wam
znów w nowój przystudze, dać dowód prawdziwego,
i pamiętnego o was przyjaciela.

DO MOICH MAŁYCH CIECIEKÓW

N Boska pomoc, zasłanie nasz umysł kochane
działki; — rozkiszczanie i wstępowanie w sercach two-
ry; to było moja dążność i cel, w jakim to pi-
sano w darze wam przynoszę.

Nebralem te nasionka z serca i pełnem tęż ser-
cem, do sweterem w ołtarze składam.

Żwięcić dla was pracę w nadziei, iż ona błoga
i pożądana korzyść przyniesie; że te skromne
zianka & zęzława podobne ręką, wydadzą plon obfity;
to jedyn tylko stanowieć będzie pociechę i zachę-
tanie, jakim w nagrodę od was oczekuję.

CZEŚĆ PIERWSZA.

BAJKI.

Co tylko serce poruszy
Z chwałą niech idzie do duszy!
Budzi się, pali myśl czysta,
I z bajek nawet korzysta.

Fr. Dyo. Książnin.

WSTĘP

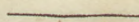
DO DZIECI.

Często kochane dziatki, bajeczki słyszycie,
I tych się z upragnieniem na pamięć uczy-
cie;
Lecz pomnijcie, iż żadnej korzyści nie zro-
bia,
Jeżeli życia waszego, w cnoty nie ozdobią.
Kształćcie z nich serca zawsze, baczenie i tro-
skliwie,
Przyjmując napomnienia i rady cierpliwie.
Bądźcie jak skrzętne pszczołki, co słodycz
zbierają,
A niegodne pożytku, zioła odrzucają.
Bo i w bajce znajdziecie, to, co niecień świeci,
Ale tego unikać, trzeba moje dzieci.

Jak więc cnota złym czynem, gardzić zawsze
 umie
 Czytajcie — w tych bajeczkach, każde to
 zrozumie.

A ja z waszój korzyści i z postępków zgody,
 Innój nie będę pragnął dla siebie nagrody.

DO WNIOSŁ



Ale tego unikaj, trzeba moję dzieci.
 Bo i w bajce znajdziesz, to co niecie świci.
 A niegodne pożytku, ziola odznacza.
 Zbieta.
 Bądźcie jak sroczka paszeczki, co słowcy
 Przyjmują napomnienia i rady cierpliwie.
 Skłiwie.
 Kształcie z nich serca zawsze, bacznie i tro-
 Jełli życia waszego, w cnoty nie ozdobi.
 dia.
 Jedz ponownie, iż każdej korzyści nie stro-
 cie.
 I tych się z upragnieniem na pamięć nocy-
 Często kołbane bajki, bajeczki słyszcie.

Człowiek i robaczek.

W pięknym ogrodzie, niedaleko krzaczka,
Spostrzegł raz człowiek, małego robaczka;
— Dumając nad nim; rzecze: na co téż ty
żyjesz?

Błąkasz się, niepotrzebny — lub téż w ziemi
kryjesz;

Obyło-by się, bez ciebie przecie

Na tym tu świecie. —

Cudownych dzieł natury, nie poprawisz człę-
cze,
Jeden Stwórca nas stworzył — robaczek od-
rzecze.

Latawiec papierowy.

Puściły dziatki latawiec wysoko,
 Tak, iż go ledwie doścignęło oko.
 I bujał długo — lecz bujał bez celu;
 Czyliż z młodzieży, nie czyni tak wielu!

Chłopczyk i Osiek.

Przestań-że wrzeszczyć, ty Ośle szkaradny!
 Tak zgromił zwierze, jakiś chłopczyk składny;
 A ten mu na to: gdybyś mi rzekł grzecznie,
 Tobym usłuchał, i nie działał sprzecznie.
 — Chłopczyk się cały ze wstydu zapłonął,
 Iż do grzeczności, Osiek go nakłonił.

Dziecię i Rak.

Ach! jakież to kształt dziwny, tego niebo-
raka,

Rzekło raz dziecię, zobaczywszy raka.

Tak powolny, ledwo lézie

Pewnie on téż i nie gryzie.

A więc chęć i odwaga, pobudziły malca,

Przytknąć do jego łapek, koniec swego palca.

Lecz załedwie się dotknął; — wykrzyknie ze
łzami,

O! nigdy już nie będę, żartować z rakami. —

— Nie sąż z pozoru tylko, niebaczna mło-
dzieży,

Często żal w zysku bierze, kto za śmiało wie-
rzy.

Szczygieł i Słowik.

To wrzeszczał, to znów świergotał,
 Skrzydełkami trzepotał;
 Nadęty prózną dumą, szczygieł przy słowiku,
 ••• Iz mu natura dała, kolorów bez liku. —
 Wtém, złapano ich obu; i na sprzedaż wiodą,
 Pewny szczygieł, iz oczy, zwróci swą urodą;
 — Lecz wkrótce, wstyd ukarał tego, co się
 chwalił,
 Bo gdy mniemał, iz piękność, pierwszeń-
 stwem ustalił;
 Wyższość, wszyscy przyznali słowikowi zgo-
 dnie.
 Gdyż wewnętrzną tylko wartość, ocenia się go-
 dnie.

C i e l e.

Pragnąc korzystać, z przyjaźnej pory,
 Młode cielątko, wyszło z obory;
 A nie zważając na żadne przeszkody

 Pełne swobody;

Kiedy, to wierzga — to lata

 Figielki płata;

Aż w tém zdyszane

 Uderza o ścianę.

To nic, zawoła, polecę téż w pole,

Tam sobie lepiej pohulać wolę;

 Gdy tak z radością bezpieczne wypadło,

 Psy go złapały — zgryzły — i przepadło.

Latać ze zbytkiem, a przytém bez celu,

Również szkodliwém jest i dziatkom wielu.

Motyl i Pająk.

Ów próżniak, i latawiec, rokoszny motylek,
 Co tylko do swawoli, upatruje chwilek;
 Siedząc raz, sam na kwiatku, gdy ślepkami
 świeci,
 Spostrzegł, jak pająk tworzył, swe mozolne
 sieci. —

Prędko-bym się rzekł motyl, taką pracą znu-
 dził,

Gdybym tak, jak ty ciągle, siły swoje trudił.
 To powiedziawszy, zaczął latać lekkomyślnie
 Krążąc nad jego siatką, ze zbytków umyślnie.

Pająk téż mocno, tém rozgniewany,

Odrzekł do-ń głosem nagany:

Próżniaków, jak ty, — praca, najczęściej za-
 dziwia,

Lecz kto sam czas marnuje, niech się nie
 sprzeciwi

Tym, co zamiast rozpusty, życia chwile swoje,
 Święcą na trudy i znoje.

Więc życzę zejść mi z oczu, gdy ci w głowie
 światła,
 Bo gdy wpadniesz w me sidła — będzie z na-
 mi kwita.
 Lecz gdy motyl na jego, nie zważał prze-
 strogi,
 Wpadł w siatkę, uwikławszy, i skrzydła, i nogi.

Człowiek i cień.

Zjakaż się dumą człowiek, raz przyglądał sobie
 W przyjaznej mu dobie;
 Iż całej swój budowy, kształt, jak jego prawie,
 Cień mu odnaczał na jawie.
 Chlubiąc się sam ze siebie, rzecze: taka po-
 stać
 Mogłaby snycerzowi, do modelu zostać. —
 W tém, zaszła mała chmurka, zniknął ślad na
 ścianie,
 Cień odrzekł: — tak też trwałą, uroda mój
 panie!

O s i e ł.

Kiedy kaźden ze mnie szydzi
 Wyśmiewa się, i mną brzydzi;
 Otóż zmienię moją postać,
 Muszę czém-ciś lepszym zostać.
 Tak ryknął osieł, swoim głosem wzniosłem,
 Poznają, co to żartować jest z osłem!
 Więc ubrał się czém-prędzój, w modne suknie
czleka,
 Staął na łapkach, — i na hołdy czeka;
 Lecz kto tylko na-ń spojrział,
 Zaraz w nim osła dojrzał;
 A gdy śmiechu, i krzyku
 Było bez liku;
 Zawstyżone ośliisko, z przybranój natury,
 Powrócił jak niepyszny, do swój własnej skóry.
 Ktoś go jednak pocieszył, i tak do-ń rzekł
z cicha:
 Nie smuć się, bo podobnych, — tobie jest do
licha. —

Lis i Wiewiórka.

Na drzewie, gdzie gniazdeczko, jak mała ko-
 mórka,
 Tam to sobie znosiła, orzeszki wiewiórka;
 Wszystkie téż zdrowe, i dojrzałe były,
 Aby na przyszłość, w głodzie jój służyły. —
 Gdy niemi ciągle, i niezmordowanie,
 Już napelniła swoje pomieszkanie,
 Dostrzegł to dobrze lisek, ów znany niecnota,
 Zajrzeć do niój koniecznie, bierze go ochota,
 Mówiąc do siebie; wszak do mnie podobna,
 Cała postawa — jak moja nadobna;
 Ztąd sądzę że mnie, będzie téż wzajemną,
 A wlazłszy, chętniej podzieli się ze-mną. §
 Więc drapie się na drzewo, łapami je ściska,
 Pewien, iż cel swojego łakomstwa pozyska.
 Wtém, wiewiórka mu rzeknie: próżne twe
 zapędy
 Nie wleżesz ty do mnie tędy;
 I życzę, byś usłuchał, bo prędzej kark złamiesz
 Niż się tu do mnie dostaniesz.

Żartuj sobie, lis odrzekł: wkrótce tam przy-
 będę,
 I twe smaczne orzeszki, z łatwością zdobędę!
 A gdy się kilka łokci, wyżej wdrapać nęcił,
 Spadł psotnik — i kark skrecił. —
 — Wy! co zwierzątkom, ptaszkom, niszczycie
 gniazdeczka,
 Dla was ta jest bajeczka.

Młode Myszki.

Gniazdo rodzinne myszy, swoją jamkę miało,
 W niej to kilkoro małych, dziątek się chowało.
 Przy opiece rodziców, dobrze im tam było,
 Głodu, lub niewygody, czuć się nie zdarzyło;
 Bo zapasy spiżarni, zamożnej w dostatki,
 Były z prac ojca, i zabiegów matki.
 Lecz wkrótce starzy, na siódlach zwątleni,
 Wiekiem, chorobą, mocno obarczeni,
 Rzekli raz do swych dzieci: — teraz wy pra-
 cujcie;
 Za nasze trudy dla was, nam się wywiązuje;

Macie już siły, i wiek téż po temu,
 My, pomoc damy, z osobna każdemu.

Lecz dziatki tylko co świat ujrzały,
 Zaraz w rozpuście, zasmakowały.

Daléj-że do rodziców, po nowe zapasy,

Narzekając na złe czasy;

Starzy niszcząc się ciągle, więcéj dać nie-
 chcieli,

Na schylek tylko dni swych, resztki szczupłe
 mieli. —

Więc cóż w ostateczności, czynią te niecnoty,
 Którém niebrakowało do złego ochoty;

Oto, biędnych, i chorych, dawców swego życia

Wypędzają z ich ukrycia.

A ci, co ich tak troskliwie,

W miłości, — zdrowo, szczęśliwie,

Żywili, — i pielęgnowali;

Życie z głodu postradali.

Lecz słuszną wkrótce karę, za niewdzięczność
 miały,

W nędzy najokropniejszej, wszystkie po-zmie-
 rały.

Bo kto dni swych rodziców, święcie nie szanuje,

Niech na podobny koniec, zawsze oczekuje.

Pszczoła i Osa.

Niezmordowana w swojej pracy pszczołka,
Zbierała słodycz, nie z jednego ziółka;
A coraz dalej, postępując śmiało,
Rzekła: gdzie korzyść, tam nie będzie wiele.
Będzie za wiele! — krzyknie z gniewem osa,
Patrząc zazdrośnie, na pszczołkę z ukosa,
Wszystko wybierasz, cóż dla mnie zostanie?
Przez ciebie chyba, w głodnym zamrę stanie.
Na to jój pszczoła, tak odrzeczę skromnie,
O jak-że mylną, masz nienawiść do-mnie.
Spojrzyj na okrąg ziemski, — tych cudów
przestrzenie,
Które tylu istotom, dzielą pożywienie
Możnym jest tego Stwórcą — On wszystkim
wystarcza,
Lecz ciebie widzę zazdrość, i chciwość obarcza.
Pracuj; a pracuj w chlubnym, dla ogółu celu,
A i siebie wyżywisz, i pomożesz wielu. —

Kamień i Mech.

Znacznej wielkości kamień, mchém obrosły
cały,

Gniéwał się, czemu kwiatek skromny jaki mały
Niewybiegł, z odwiecznego mchu na nim sie-
dliska,

Lecz martwą zielonością, próżno go uciska.

Na co zdziwiony, mech mu odpowie

W téj osnówie :

Każden powinien znosić Stwórcy przerna-
czenie,

Ziemia kwiaty wydaje— mech, tylko kamienie.

Młoda małpka.

Małpka młoda, lekka, zwinna,

W zbytkach swoich zawsze czynna;

Dostrzegła jak raz bartnik, na drzewo się
 wdzierał,
 I miodek pszczołom podbierał.
 Dalej-że więc psotnica, zaostrza pazury,
 I gdy ten odszedł, — śmiało drapie się do
 góry;
 W zręcznych swych skokach, po drzewie
 zmyka,
 A bliska celu, już ślinki łyka.
 Dośięgła wreszcie, gdzie pszczołki były
 I miód złożyły;
 Lecz te, dziwnego gościa, dobrze też przyjęły
 Bo tak go się wszystkie jeły;
 Iż, zamiast miodu, to dostała w zysku,
 Że ją zkąsały, po grzbiecie, i pysku.
 I między dziećmi małpki, często się znajdują,
 Co bardzo chętnie wszystko zaraz naśladowują.
 Niech im w tej bajce będzie, zwierzątko prze-
 strogą,
 Jak smutny koniec z zbytków, w zapłacie
 mieć mogą.

Rdzawe żelazo.

Obrzydły próżniak, idąc raz drogą,

Nastąpił nogą

Na ułamek potrzebny przed laty żelaza,

Którego już pokryła, niszcząca rdzy skaza.

Podniósł go z ziemi, myśląc, iż jeszcze po-
płatne,

Lecz gdy obejrzał; cisnął — jako już nie-
zdatne;

Mówiąc: gdybyś było tak czynne

Jak inne;

To-byś nie zardzewiało,

I na coś się przydało. —

Żelazo na to, z pogardą odrzeczę:

Temu nie przeczę.

Lecz ty-ś mi niepowinien, przymawiać mój
panie!

Gdyż w podobnym téż ze mną, znajdujesz się
stanie.

Mnie rdza pokryła, bo-m leżał nieczynny,

Więc jestem winny.

A dziś, równam się z życia, twój obrazem,
 Bo człowiek, jak ty gnuśny, — jest rdzawym
 żelazem.

Kanarek i Słowik.

Kanarek co miał wolność, z klatki wylatywać,
 Bujając sobie, zaczął raz się przysłuchiwać,
 Jak słowik miłym i rzewnym głosem,
 Cieszył się swoim, w ukryciu losem.
 Niezdolny jednak, ocenić te tony,
 Rzecz kanarek, zazdrością wiedziony:
 O! zaczekaj, ja teraz, zaśpiewam ci ładnie,
 Słuchałem cię, więc na mnie kolój niech przy-
 padnie;
 Poznasz, co to uczony, głos może dokonać;
 Więc dalej-że swym wrzaskiem, słowika prze-
 konać;
 — A gdy ucichł zmęczony; zapytał o zdanie,
 I cóż, — wszak-że piękniejsze, moje jest śpie-
 wanie ?

Słowik odrzekł: talentu, — bardzo ci winszuje,
 Ja zaś, to tylko nucę; — co me serce czuje.

Młode pszczoły.

Sprzykrzywszy sobie pszczółki, matki swojej
 prawa,

Myślą, radzą, — powstaje, wielka w ulach
 wrzawa,

Mamyż rzekną: rozkazom jej ślepo oddani,
 Znosić trudy, i zawsze być pracą znękani?

Jesteś-my młode, zaradzimy sobie

W każdym sposobie.

Od słowa — do słowa

Stała umowa:

By, niemówiąc nic nikomu,

Ujść tak sobie pokryjomu;

Latać po świecie, wyszukać ul pusty,

I tam używać, swobody — rozpusty. —

Więc ruszyły, całym rojem,

Z tym najpierwszym, planem swoim;

A zniósłszy wiele trudów, i głodu w podróży,
Znajdują wreszcie ule ; każda szczęście wróży.

Dalój-że rządy, i prawa nowe,

Z kolei każda, zajęły głowę.

I tak niby dosyć zgodnie

Przeszło im lato swobodnie,

A co tylko w zdobyczy

Uzbierali słodyczy,

Nie trudząc się kłopotem

Co wypadnie na potém,

Zaraz się tém raczyły, —

Zjadły — i wypily. —

Lecz jakież nadal skutki, z tego się zawarły?

Nie było miodu w zimie ; — i wszystkie wy-

marły. —

Rozsądek, doświadczenie, kto ma, może rzą-

dzić,

Inaczój z własną szkodą, zawsze będzie błą-

dzić. —

Bławatek i kłos żytni.

Małeńki kwiatek
Bławatek;

Wadził się z dorodnym kłosem,
Iż właściwym sobie losem;
Pjął się codziennie, wyżej do góry,
Zciemniając barwę jego natury. —

Kłos, co o swym pożytku, bardzo dobrze
wiedział

Tak tylko odpowiedział:

Niedługo ja ci usunę się z drogi,

Zbiorą mnie ludzie; i ułożą w brogi;

Ty zostaniesz w swym blasku, chociaż bez
użytku,

Ja skrzepię siły człeka, i jego dobytku.

Wtenczas poznasz swą wartość, nędzny sa-
molubie!

Ale dosyć — z próżnemi, gadać ja nie lubię.

Młodzieniec i bańka na wodzie.

Zadumany młodzieniec, siedząc raz nad wodą,
 Cieszył się w swych widokach, przyszłości
 swobodą,
 Myśląc: o jakże wszystko, do mnie się uśmiecha,
 Majątek, i znaczenie; — Ach! jakaż pociecha,
 Jak-że błogo, kto taką ma w sercu nadzieję,
 Komu ona tak pewne, przedstawia koleje;
 I niech tam kto z najmędrszych, co chce my-
 śli — plecie,
 Dla mnie jest najpewniejsze szczęście na tym
 świecie!
 Wtém, zapatrzył się w bańkę, płynącą po
 wodzie,
 Ta, gdy się przybliżyła, — gdy była na przodzie,
 Rzekła: patrz na mą trwałość; to jest los
 twój przyszły,
 I za ledwie te słowa z niéj zło-wróźbne wyszły;
 Spojrzy za nią młodzieniec, błędniemi oczyma,
 A ta, wzdeła się — błysła — pękła, — już jéj
 niéma. —

Tak więc całą budowę, nadziei młodziana,
 Zniszczyła mała bańka, na wodzie widziana.
 — Młodzieży! co się ludzisz błyskotkami losu,
 Usłuchaj téj prawdy głosu:
 Tylko, kto w zbiorze cnót swych, szczęście
 chce zakładać,
 Zdoła najtrwalsze dobro na ziemi posiadać.

Słonecznik.

W wiejskiej zagrodzie
 W ogrodzie;
 Dowodził kwiatkom małym, słonecznik zu-
 chwały,
 Iż od jego promieni, byt i wzrost swój miały.
 Samo moje nazwisko, już to wam wskazuje,
 Że-m równiak jest słońca, i was utrzymuje.
 Kwiatki się téż z nim sprzeczać nie miały
 ochoty,
 I tylko w duchu z jego śmiały się głupoty.—

Wtém, nadszedł téż ogrodnik, doświadczony,
 baczny,
 Spostrzegł gluszący kwiaty, słonecznik tak
 znaczny,
 A nad-to, świadkiem będąc, téj śmiesznej ro-
 zmowy
 Jego oświeconej głowy;
 Bez żadnego namysłu, wyrwał go z korze-
 niem,
 By próżno ich niemamił, swoim uprzedzeniem.
 Wzgarda powszechna zwykle, takich tu nie-
 szczędzi,
 Których zarozumiałość, na błędny tor wpędzi.

Wilk i Jeź.

Wilczek młody — naśycony,
 Zaszedł w lesne gęstwin strony;
 I tam spostrzegł, jak Jeź w trawie,
 Sam żerował sobie żwawie.

Połknął ślinkę, ślepkami, błysnął — w krzak
 się schował,
 Mówiąc: jeszcze-m téż jego, nigdy nie ko-
 sztował;

Krótko myśląc; wychodzi, przezornie a śmiało,
 I wpada na swą zdobycz — lecz się nie udało.
 Jeź go bowiem swym wzrokiem, dobrze na-
 przód zmierzył,

I wtenczas gdy miał schwytać, — kolce swe
 najeżył

Tak, iż wilk mordę, pokrwawił sobie

I łapy obie. —

Masz nauczkę Jeź rzecze; pragnałeś zwie-
 rzynki,

Jédz jak ja, a pewniejsze, mieć będziesz ro-
 ślinki.

Skutki łakomstwa zawsze, kończą się szko-
 dliwie,

Kto w nich miarę przebiera, — cierpi spra-
 wiedliwie.

Kanarek i Wróbel.

Wyścibiwszy lepek z klatki,
 Kanareczek młody,—gładki;
 Wychwalał się przed wróblem, ze swojej
 swobody,
 Wyliczając mu liczne, jakie ma wygody;
 Między innemi, cukier; co go zawsze dziobie
 W codziennój dobie. —
 Otóż-to miłe, i roskoszne życie!
 Gdy wy; o świecie
 Przy pracy ciągłej, do późnego zmroku,
 Szukać zmuszeni jesteście obroku;
 I rzadko kiedy ziarnko znajdziecie,
 Choć głód was gniecie.
 Wtém wróbel skromnie, tak do niego rzecze:
 Dostatkom twoim, wcale ja nie przeczę;
 Używaj — gdy ci one, tak bardzo smakuja,
 Wróble z uciech w twój klatce, szczerze cię
 kwitują.

Żółw i Żaby.

Nad jeziorem

Przed wieczorem,

Żaby skrzeczały

I żerowały;

A wtém,— spostrzegły żółwia, jak ten w swój
 skorupie,

Patrzył na ich zabawy, dziwaczne, i głupie,

Jedna z nich będąc, najwięcej zdziwioną

Taką postacią, żółwia zasepioną,

Temi do niego, przemówiła słowa

Z swój mądrej głowy:

Jak-że możesz tak ciągle w swojej budzie
 siedzieć,

Życ samotnie, i nie chcieć o niczem już wie-
 dzieć.

My, że na miejscu, nigdy nie siedziemy,

To téż się dobrze, zawsze ubawiemy.

A więc wyjdź z swego kąta, i puść się wraz
 z nami,

Zobaczysz, jak cię wkrótce, ze światem po-
 znamy.

Bo my również na ziemi, — jako i na wodzie,
Coraz się nowszój życia, oddajem swobodzie.

Żółw, co cicho dotąd siedział

Odpowiedział:

Bawcie się; nie zazdroszczę, — mnie spokoj-
ność krzepi,
Może być wszędzie dobrze, — lecz w domu
najlepiej.

Niedźwiedź i Małpa.

Jeździł sztuk-mistrz z niedźwiedziem, i zwin-
ną małpeczką,

A zwiedzając tak z niemi, niejedno miasteczko,
Zdarzyło się, iż małpka, raz na osobności;

Zaczepiła niedźwiedzia, pełna figlarności,

Rzekłszy: gdy ci w przyjaźni, tak jestem wza-
jemną,

A więc téż za to, ty dziś potańcuj przedemną.

Chociaż niedźwiedź do zbytów, nie był bar-
dzo skory,

Jednak-że chcąc korzystać, z przyjaźnej mu
pory;

Stanął na łapach, i do małpki rzeknie:
 Zdejm mi kaganiec, — a skoknę ci pięknie.
 Ta, nieraz téż widziała, jak ich pan to robił
 Kiedy mu jadło sposobił.

Więc zdjęła zręcznie niemile wędzidło,
 A niedźwiedź w taniec, sunął jak straszidło.
 Lecz nieprzystając jeszcze małpka na tém,
 Zaczęła mocno, rozdrażniać go batem;
 Mruknał niedźwiedź, kilka razy,
 Iż nie zniesie téj obrazy;
 Ta na to nic niezważa, nieustannie bije,
 Przybiega, — to się znów kryje;
 A wtém, zniecierpliwiony, zchwycił ją w pa-
 zury,

Rozdarł — i rzucił do góry.
 Tak to najczęściej, wszelkie nadużycie,
 Na smutny koniec, wystawia to życie.
 Jeżeli rozsądkiem, rządzić się nie chcemy,
 Z własnej téż winy, z pewnością zginiemy.

Sroka i Papuga.

Rzekła raz sroka, sąsiadce papudze:
 Jakże ja twojém gadaniem się nudzę;
 Pleciesz niezrozumiale, aż się w głowie kręci,
 Zgoła, nikt twego wrzasku, słuchać niéma
 chęci.

Najlepiej żebyś raz przecie milczała,

A mnie słuchała! —

Rozgniewana papuga, z dumą jój odrzeczę:
 Zdaniu twemu jak zawsze, tak i teraz przeczę;
 Bo ja to ciebie, nierozumiem wcale,
 Gdy jesteś w wrzasku swojego zapale;
 To zaś co sama, posiadam w mój głowie,
 Każden podziwia, i rozumem zowie.
 Po takich sprzeczkach, zmordowane obie

Usnęły sobie.

O! niechaj to nikogo wcale nieobraża,
 Że i pomiędzy ludźmi, często się to zdarza;
 Jeden drugiemu, przygania w rozumie
 Gdy sam nic nie umie.

Dudek i Słowik

Jaki z ciebie téż odludek

Do słowika, rzekł raz dudek ;

I w nocy — i dzień cały, żyjesz prawie skryty,

Gdybyś to głos swój czuły, i tak wyśmienity

Dał słyszeć światu jawnie ; o natenczas blizcy,

Dali-by poklask wszysej.

Dlaczegoż mnie to, kaźden zdumiały

Darzy swojemu pochwały ?

Bo gdy ujrzy mą urodę,

Kolor piórek, czub, i brodę,

Zaraz podziw swój wyjawia,

I rad, pod nieba wysławia.

Na takie wynurzenia pana dudka grzeczne,

Rzekł słowik: — zdania nasze, są zupełnie
sprzeczne.

Próżność, zwykle się tylko, między próżnych
tłoczy,

Bo niemając wartości, mamić pragnie oczy ;

Ten, co nic prócz zwierzchniego kształtu nie
posiada,

Zwykle takiego dudka, jak ty zapowiada.

Wilk i Prosię.

Utrudzone wilczysko, leżało w gęstwinie,
 A że był wygłodniały, znać było po minie.
 Wtém, dochodzi go jakiś kwik bardzo żałośny
 Coraz więcej donośny;
 Podnosi łeb, i rzecze: wszak nie przyśniło się
 To nieomylnie jest prosię.
 Więc śmiało skoczy, wytropionym śladem,
 Ciesząc się pewnym, i smacznym obiadem;
 Szukał nawet nie długo, węż miał dobry
 w nosie,
 Dostrzegł — prawda; na chruście, siedzi du-
 że prosię.
 To, gdy ujrzało, tuż pana wilka,
 O kroków kilka;
 Drząc całe biędne, i jawnie, i skrycie,
 W prośby do niego: ach! daruj mi życie!
 Zginiesz tu zemną, więc cię przestrzedz wolę,
 Bo tu są sidła, na ciebie w tym dole.
 Kłamiesz! wilk rzecze, ty mały filucie!
 Dostanę ja cię, tu zaraz w minucie.

Więc dalej szust

Prosto na chrust;

Lecz prosiak zgadł,

Bo wilk w dół wpał.

I gdy część sobą samym, gałęzi tam zwałił,

Prosiak na pozostałych, żywy się ocalił.

Zawsze to smutny, takich koniec bywa,

Którym na czuciu szlachetném, tu zbywa.

Szpic i Brytan.

Wybiegłszy raz z pokoju, szpicek jeden mały,

Pańską łaską nadęty; minką okazały;

Przebąknął tak, ze wzgardą do brysia Karturza

Z bliskiego podwórza :

Przypatrz się tym pieszcotom, jakich ja uży-
wam,

I w nich opływam.

Ty zaś, co tyle panu, wyświadczasz dobrego,

Dom jego w nocy chronisz, od człowieka złego,

Słuzysz ciągle wiernie, stale,

A niedbają o cię weale.

Gdy tak się wynosił

I szczęście swe głosił;

Bryś na to łeb swój spuścił; i sapał dwa razy,

Takimi przemówiwszy, do szpica wyrazy:

Zasługa, lichy towar, weale niepopłatny,

Kto pochlebiać się umie, ten jest panom

zdatny;

Nieżyczę; — lecz i ciebie, los ten spotkać

może;

Kto z szczęścia się wynosi, — kończy na po-

korze.

Stulił uszki szpic mały, jak wszysej stulają,

Którym niemile prawdy, w oczy ogłaszają.

Wkrótce się też sprawdziło; — szpic straci-

wszy siły,

Z łask pańskich zaraz wypadł, więcej nie był

miły;

A tułając się w nędzy, głodem przyciśniony,

Wspomniał sobie na brysia, i czas upłyniony.

Chory i lekarstwo.

Bogacz, co w swych dostatkach, ogromnych
 opływał,
 Jednak-że nieszczęśliwym, zawsze się nazy-
 wał;

Bo gnuśne wiodąc życie, sądził iż był chory,
 I bogactwa swe tracił, na leki,— doktory.

Gdy już w końcu do zguby, zbliżał swoje
 mienie,

Obarczając codziennie, więcej swe sumienie;
 W tém, dostrzegł raz flaszczykę, co na oknie
 stała,

I tę zbawczą receptę, wyrażoną miała:

Chciej mnie teraz usłuchać, a zdrów pewnie
 będziesz.

Miuj pracę, — a siły, i spokój posiędziesz!
 — To jakieś, odrzekł bogacz, musi być ku-
 glarstwo,

A nie lekarstwo.

Tak, lekarstwo: rzetelne, te, do niego rzecze,
 Z próżniactwa to i dziwactw, chorujesz czło-
 wiecze!

Zażyj tylko méj rady, zrzuc tę gnuśną postać,
A ręczę, iż szczęśliwym, wkrótce możesz zo-
stać.

— I prawda, gdy usłuchał, pracą siły zbawił,
Światu był użytecznym; sobie roskosz sprawił.
Bo szczęście tu na ziemi, nie w srebrze,
i złocie,
Lecz w pracy, i z nią wiernie, połączonej
enocie.

Kura i jój dzieci.

Odchowawszy dość dziątek, przez wiosenną
porę,
Rzekła im kokosz: — gdyście, już podrosły
spore;
Możecie sobie same, szukać pożywienia,
Tylko proszę w miłości — i bez poróżnienia.
Więc pobiegły, — bo nowość, młodych tu
zabawia,
I miły zawsze obraz, przed oczyma stawia.

Wtém, słyszą jak przed sienią, gospodyni woła,
 Sypiąc dla nich pszeniczkę, hojnie dookoła;

Kurczątką téż na to

Jak na lato;

Zleciały się skwapliwie, w gromadkę swo-
 bodne,

Ziarnka zajądać głodne.

Leez gdy na ziemi, mało co już było,

Więc się kilkoro, o nie poczuło;

Szczęściem, że niedaleko, tuż będąca kwoka,

Co jeszcze młodych dziątek, nie spuszczała

z oka,

Broniąc niezgody, rzecze: tak to mnie słu-

chacie,

I zemstą o te małe, ziarnka oddychacie!

A gdzieście to widziały,

Ten przykład zuchwały?

Kiedy tak coraz więcej, gniew swój na nich

budzi;

Kurczątką rzekły razem: — Ach matko! —

u ludzi.

Dwie lampy stołowe.

Lampa bez-użyteczna, oddawna zniszczona,
 Na której szklanna głowa, była umieszczona;
 Świetna w swoje ozdoby, kosztowne i rzadkie,
 Z zazdrością spoglądała, na skromną sąsiadkę,
 Co ubogo przybrana, stała na komodzie
 Ku wszystkich wygodzie.

Raz, owa w przepych strojna, niby to nie-
 chcący,

Rzeknie do lampy palącej:
 Niepotrzebnie się silisz, by mi blasku przydać,
 Że go mam więcej jak ty, to wyraźnie widać;
 I kto tylko swe oczy zechce zwrócić na mnie
 Z łatwością to odgadnie.

Wtém, mała lampka rzecze, na użytek pomna,
 Co do mnie;— znam to dobrze, zem w ozdo-
 by skromna,

Lecz jeżeli tylko, idzie ci o to
 Że się nademnie pragniesz, wywyżzyć pozłotą,
 Wiédz, iż ja z tego, dość żartuję sobie,
 Przez wzgląd na korzyść, jaką innym robię;

Ciebie zaś kto wewnątrznie rozpozna — to
 powie:
 Piękna — lecz cóż, kiedy jój, brak oleju
 w głowie.

Potok i Strumyk.

Nawalną burzą pędzony,
 Cały spieniony;
 Leciał z groźnym łoskotem, potok okazały,
 Między wzniosłemi skały.
 Kiedy tak swym odgłosem, powietrze prze-
 nika,
 Spojrzał na skromne wody, cichego stru-
 myka; —
 Precz-że mi z drogi, rzeczce; nędzna niedolego,
 Ty nieustanna włóczego!
 Na widok wspaniałości, i mego odgłosu,
 Winienes się ukorzyć; téj potędze losu.
 Strumyk zaś rzeczce: wkrótce burza ta ustanie,
 A wtenczas twa zuchwałość, dumną być prze-
 stanie.

Rozjątrzony tem jeszcze, potok, powstał, ry-
 knął,
 I nędzny w przepaści zniknął. —
 Szerzcie próżni swą wielkość, wznosić się
 jak chcecie,
 Od podobnych wam tylko, hołdy odbierzecie.

Złodziej i echo.

Aby nie być zchwytanym; więc baczny za-
 wczasu,
 Ukrył się z swą zdobyczą, złodziej raz do lasu.
 A zacząwszy obliczać, z swój wyprawy plony,
 Sycił niemi swe żądze, — przytém, ucieszony
 Iż mu się zręcznie jego spełniły nadzieje,
 Wykrzyknął: wivat! tacy, jak to ja złodzieje!
 Złodzieje! — echo zaraz, w lesie powtórzyło,
 Aż mu się w oczach niecnych, okropnie za-
 ęmiło;
 Więc pewny niechybnego, na siebie zamachu,
 Zrywa się, i swą zdobycz porzucając w strachu,

Leci błędny, — wtém, trafia, w bagna nie-
zglębione,

I w nich swe życie kończy, tak niecnie zhań-
bione.—

— O — bo téż kaźden człowiek, w kaźdém
wieku dobie,

Czuje zawsze głos echa, sumienia przy sobie.

Cnotliwy, żyje wesół,— pod opieką Boga,

Zbrodniarza, na cień własny, obejmuje trwoga;

Spłoszy go lekki wietrzyk — drżący listek
zbudzi,

Gdy w sromotnych swych czynach, życie
swoje brudzi.

Bogacz i zdrowie.

Zwiedzając miejsca zbytków, zdrowie pożą-
dane,

Weszło raz w dom bogacza; tam nie szano-
wane;

— Co tu słyhać, przemówi — mam-że tu
zabawić?

Może kogo mą radą, i pomocą zabawić?

— Idź precz! odrzecz bogacz, gdy będę
w potrzebie,

Sam cię znajdę; lub pieniądz, sprowadzi tu
ciebie. —

— Rok nie minął; pan możny w śmiertelnéj
chorobie

Przyzywa zdrowie, wcale, niemyśląc o grobie;

A gdy weszło — ten zaraz, ze szczodłą ochotą

Na ujęcie łask zdrowia, sypie swoje złoto.

Lecz te, dawniej wzgardzone, myśl prózną
dociekło,

I niedawszy pomocy, — na wieki uciekło!

Próżno bogacz przepłacał, leki, i doktory,

Umarł — bo niekorzystał, ze zbawiennéj pory.

Uczmy się w naszym życiu, cenić zdrowia dary,

Więcej w nim, jak dostatkach, pokładajmy
wiary,

Nie zawsze pieniądz, koniec, cierpien nam
ukróci,

Bo skarby się wyczerpią, — a zdrowie nie
wróci.

Lew i Wiewiórka.

Leżał po dziennych trudach, lew w swojej ja-
skini,

Wtém, przybiega wiewiórka; i pokłon mu
czyni,

Zbliża się coraz więcej,— koło niego snuje,

A nawet zręczna w susach, przez grzbiet
przeskakuje.

— Co-żes to taka śmiała; lew do niej wyrze-
knie,

Jak widzę, ufasz mojej dobroci — to pięknie;

Bo nie sądzę, ażebyś tego nie wiedziała,

Iż ta śmiałość zuchwała,

Mogła-by w jednej chwili, z tobą zginać sna-
dnie,

Jeżeli mi ta chęć przypadnie.

Wtém, swobodna wiewiórka, ufna swój zrę-
czności,

Rzecz do lwa jegomości:

Opatrzność, przeznaczyła, każdemu obronę,

Aby zdołał ocalić, swoją słabszą stronę;

Spojrzyj na drzewo co tu, blisko stoi ciebie,
 Tam jest moja ucieczka — ratunek w potrzebie;
 Więc mnie o swój dobroci, nie wspominaj
 wcale

Gdyż wiem to doskonale;
 Iż gdybyś był tak zręcznym, jako jesteś silnym
 Życie moje byś zniszczył, ciosem nieomylnym.
 Ten niech się tylko ze swój wspaniałości
 chlubi,
 Kto, choć może słabszego zniszczyć — a nie
 gubi.

Lis i Indyki.

Lisek układny,
 A zawsze zradny;
 Zawitał raz do kurników,
 Gdzie było dużo indyków.
 Do nich się tedy, mile zalecał,
 Przyjaźń, usługi, wszelkie obiecał;
 Prosząc ich tylko — aby zeszły z grędy,
 I bliżej chciały, poznać jego względy.

Każden indyk napuszony,
Przyszłością tą ucieszony;
Złazi z chęcią; bez bojaźni,
Ufając lisiąg przyjaźni;
A gdy stanęły razem, tak przed nim w gro-
madzie,

Niemyśląc o jego zdradzie;
Lisek, co się oddawna, na nich chytrze kusił
Wszystkie z kolei głupie; połapał — i zdusił.
O ileż-to i ludzi, jest takich, co rzekną
Swą mową piękną;

Całuję nóżk ipańskie; — pod stopki się ściele,
A nędzni — przy tych hołdach, zdrady mie-
szczą wiele.

Mysz i Kret.

W wieczornój już dobie,
Skrzętna myszka sobie
Na polu jamkę, małeńką kopała,
By schować ziarnka, które uzbierała.

Wtém, wylazi kret z ziemi, a gdy ją spostrzega,
Cóż to za śmiałość krzyknie — i do niej przy-
biega;

Więdz, iż stróżem tu jestem; wprawdzie
w dzień nie widzę,
Lecz w nocy rozeznaje złe, i nim się brzydę,
A przytém, gdzie sumienie, robić takie szkody,
W miejscu tak użyteczném, dla ludzkiej wy-
gody.

Ustępując dozorcę, mysz zawsze przebiegła,
Niegłęboko na chwilkę, do swój jamy wbiegła,

Oczekując tylko pory,

Jak téż sprawdzi te perory.

Wtém, słyszy, jak kret ziemię, niszczy i nurtuje;
Wylata więc — i pana dozorcę zdybuje;

Piękny rzecz: jegomość, z siebie wzór mi
dajesz,

Sam gorsze złe popełniasz — a mniej winną
łajesz;

Kto innych naprowadza, na tor prawej cnoty,
Winien swoim przykładem, dodawać ochoty.

O ileż-to i w świecie, jest takich niestety,
Na innych ostrowidze — a na siebie krety.

Zegarek i Czas.

Zegarek po naprawie, gdy zaczął ruch nowy,
Takiemi się do czasu, raz odezwał słowy :

Ty, co za moim biegiem, zawsze postępujesz,
I do mojej się woli, na świecie stosujesz ;

Więc ujrzyj choć raz cuda téj mojej potęgi,
A moc, co tobą włada, wyczytasz jak z księgi.

Oto kółka na walcach, tu sprężynki małe,

Co życie mi nadają, takie doskonałe ;

A wszystko piękne, ze złota i stali,

Tych wieczno-trwałych metali.

Patrz ; i podziwiaj, śmiałość tego dzieła,

Która nad tobą, taką wyższość wzięła.

Czas milcząc — zajrzał ; — a wtém, owa nie-
ulekła,

Sprężyna w zegarku pękła.

Ucichł biedak ; i jego osławione siły,

Jakby w nim nigdy nie były.

Czas téż, co na niezmienny, bieg swój słusznie

baczył,

Takim się w końcu zdaniem, do niego odzna-

czył :

„Niech się téj prawdy w świecie, nikt wyznać
nie skąpi,
Iż żadna sztuka cudów, Stwórcy nie zastąpi.“

Jaskółka i Wróbel.

Niebędąc sobie, w niczem na przeszkodzie,
Jaskółka z wróblem, żyła w miłej zgodzie;
Gniazdka ich były, dosyć bliskie siebie,
Tak, iż przysługi, świadczyli w potrzebie.
A więc i przyjaźń, wkrótce ztąd nastąpiła,
Z którą Jaskółka, tak się odezwała:
Dobry wróbelku! miły mój sąsiedzie!
Gdy nam się razem, tak tu dobrze wiedzie;
Niech odtąd węzeł, przyjaźni nas łączy,
Póki kres życia, nasz się niezakończy.—
Chętnie rzekł wróbel, przyjmuje twe chęci,
Gdy twoja skłonność, tak cię ku mnie łączy;
Lecz będziesz-że mi doskonale wzajemną,
Jeśli ci przyjdzie, trudy dzielić zemną?
U nas jest w zimie, ciężkie pożywienie,
Głód nieraz dojmie, i sprawi cierpienie;

Jednak, gdy wspólnie, pracować będziemy,
 Pociechę w naszych, trudach tu znajdziemy.
 Wtém, mu Jaskółka przerwie — słuchaj proszę:
 Wiész, iż na zimę, ja się ztąd wynoszę
 Dla zimnej pory, której znieść nie mogę;
 Lecz bądź spokojny, choć się puszcę w drogę,
 Skoro czas miły, wiosenny nastanie,
 Ja zaraz zlecę, na tve powitanie;
 — Dość téj czułości, — wróbel jój odgadnie,
 Więc niech tam z tobą i przyjaźń przepadnie!
 Wierny przyjaciel, wszelki los tu dzieli,
 Takich nam nie brak, jak ty przyjaciele!

S o w a.

Na wieży starego gmachu,
 Siedziała na dachu,
 Osklniona blaskiem słońca, napuszczona sowa,
 Niemogąc wcale pojąć, gdzie teraz jój głowa.
 Tak bowiem nagle, jasność ujrzała,
 Iż prócz téj, nic niewidząc — zgłupiała!

Nie traci jednak ducha, dziób w górę zadarła,
 I wyżej się jeszcze wdarła. —
 Pozdrowił ją niejeden ptak przelatujący,
 Lecz ta nie odrzekła; — tak jak głąz mil-
 czący,
 Ślępię miała wytrzeszczone,
 W inne miejsce obrócone. —
 Wtém, coś ją strachu, nagle nabawiło
 I z wieży spędziło;
 Dalej-że sowa z swemi, rozpiętymi skrzydły,
 Leci ślepa, i łeb swój, rozbija obrzydły.
 O! ileż takich, mamy Waszeci,
 Którym gdy nagle szczęście zaświeci;
 Powłoką dumy, okryją się snadnie,
 Lecz z nią niejeden, często i przepadnie.

Paw i Jaskółka.

Paw dumny z swoich ozdób, siedząc raz na
 płocie,
 Uważał, jak jaskółka, pracowała w błocie;

Niemogąc dociec, tego zatrudnienia,

Rzecz z niechęcia:

Jak-że możesz tak podłą, upodobać pracę,

Niemogłabyś wraz ze-mną, odwiedzać pałace

Gdzie tylko przystęp, bywa mnie podobnym

Jak widzisz zdobnym.

Jaskółka się zbliżywszy, odrzecz mu skro-

mnie: —

Co do mnie;

Ja nie narzekam wcale, na to zatrudnienie,

I w pracy, jaką widzisz, szczęśliwą się mienię,

Że w tym błocie się brudzę, cel chlubny znaj-
duję,

Bo z niego dla mych dziątek, gniazdeczko
buduję;

A gdy ty się pałacu, napawasz uciechą,

Ja wtenczas odpoczywam, pod wieśniaka
strzechą.

Rozśmiał się paw szyderczo; — i tak myśl
nakreca,

Któż-to cię rzecze, do tych, trudów tak zachęca?

I kto przykładem swoim, zaprawił do znoju,

Gdy ja bez-czynnie żyję, wśród szczęścia po-
koju?

Rolnik — rzece ptaszyna; co w swym pocie
 czoła,
 Żywi pracą rąk swoich, wszystkich dookoła
 A nawet i próżniaków — dość! dość! Jaskó-
 leczek!
 Leć już sobie, paw rzece, kończyć swe gnia-
 zdeczeko.
 — Daj Boże! aby nieraz, wszelka prawda taka,
 Ukłuła niejednego, w oczy tu próżniaka.

Przetaki i Sito.

Wszczęły z sobą raz rozmowę,
 Dwa przetaki, jeszcze nowe;
 I rzekł z nich jeden: toż jaki, taki,
 Kupuje przetaki;
 Widać, iż bez nas człowiek się obejść nie może,
 Bo gdyby zboże,
 Nie czyścił nami,
 Jadł-by z plewami.
 A więc nam znakomitszy, tytuł się należy,
 Kiedy nasze znaczenie, tak pożytek szerzy;

Kto czyści, więc zalety, oświaty posiada,
 Tak moje przekonanie, ciągle mi powiada.
 Zgadzam się na to, rze^{cz}e przetak drugi,
 Za mało cenią, nasze tu zasługi;

Już téż oddawna, gniew we-mnie budzi

Niesłuszność tu ludzi.

Wtém, sito — co wisiało, spokojnie na ścianie,

W tych słowach objawiło, do nich swoje

zdanie :

Milczcie ! bo czém jesteście, tém zostać mu-
 sicie,

I próżno się o tytuł, mędrszy tu kusicie,

Podług mnie, ten ma wyższość, kto się nie
 wynosi,

Kogo własna zasługa, z jego czynów głosi.

Lecz wam się przytém, choć w części, nie
 dziwię,

Bo mówiąc prawdziwie :

I na świecie głów ludzkich, takich jest niemało,

Które-by, przetakami, nazwać można śmiało ;

Coś uchwyca nauki — lecz ze niedokładnie,

Przeleci téż przez głowę -- jak przez przetak
 snadnie.

Człowiek i Kamień.

Człowiek bez iskry czucia, z swym wzgardli-
 wym okiem,
 Pominąwszy nędzarza — co przechodził bo-
 kiem;
 Ujrzał, leżący kamień, a w nim z wierzchniej
 strony,
 Od spadających kropel, otwór wydrażony.
 Zdumiał się mocno nad tém, zjawiskiem na-
 tury,
 A zatapiając ciągle, w głąz ten wzrok ponury;
 Rzekł: — o jak-że ty kruchy, musisz być ka-
 mieniu,
 Gdy cię słaba wód kropla, poddała zniszczeniu.
 Ja to się więcędziwie; rzekł kamień do człeka;
 Iż łza, którą zabłysła, nędzarza powieka,
 Nie zmięczyła twój duszy; — nie roztwarła
 dłoni,
 Aby wsparciem go dźwignąć; z opłakanój toni.
 Kruchsze są więc kamienie, co je kropla budzi,
 Niż zkamieniałe serca, takich jak ty ludzi.

Kot i Pies

Znany z chytrości, i domowych plotek

Kotek ;

Pragnąc się pozbydź, w psie nieprzyjaciela,
Wiecznego rodu swojego mściciela ;

Pobiegł, gdzie uwiązany Bryś leżał pod budą,
A więc téż i bezpieczny ; ze zwykłą obłudą ;

Zbliżył się do niego z cicha

I wzdycha ;

Oj! biedny Brysiu, rzeknie — zdechniesz ty
niedługo,

Słyszałem dzisiaj w kuchni, jak sługa ze sługą,
Zmawiali się stanowczo, by cię głodem zmo-
rzyć,

Lub nieustanném biciem, czujność twą uko-
rzyć,

Abyś w nocy nie szczekał ; spać im nie prze-
szkadzał,

I obawą złodzieja, próżno ich nie zdradzał.
Więc życzę, porzuć służbę, niewdzięczną dla
siebie,

A ręczę, że mi za to odwdzięczysz w potrzebie!

Rzekła do niego, pełna uniesienia

I oburzenia:

Jak-że możesz tak śmiało, sąsiadować ze mną?

Z postawą swoją nikczemną;

Ty! co swe życie całe, kazisz w błocie, pyle,

Gdy ja dotykam złota, co pociesza tyle;

Prawdę mówisz, but rzece; — lecz ci nieza-

zdroszczę,

Do szczęścia tego prawa, bynajmniej nie

roszczę;

Gdyż ty, chcąc czerpnąć pomoc, którą pie-

niądź stwarza,

Uściskać często musisz, za rękę lichwiarza.

A w takim razie wybacz, wołę moje błoto,

Niżli skalaną rękę, dotknąć choć-by złotą.

Człowiek i Pająk.

Człowiek, co swoich bliźnich, niecnie szarpał

sławę,

Bez-względny na ich życie, nieskalane, prawe;

Siedząc samotny w domu, jak ptak w swojej
 Wlepił swój wzrok w pająka, co się trudził
 w siatce;
 I dostrzegł, jak ten muchę, w swych objęciach
 trzymał,
 A nieczuły na prośby, z jój siłą się zrywał.
 Kiedy się więc przybliża, aby ujrzyć zucha,
 Wtém, pada, tuż przy jego nogach, biedna
 mucha.

Patrzy zdziwiony, iż nieuszkodzona,
 Wkrótce bez-silna, omdlewa, i kona.
 A rozumiejąc, iż tego dociecze,
 Cóż masz za sposób, do pająka rzecze:
 Iż niezadawszy rany, wydarłeś jój życie
 Tak skrycie?

Pająk, co znał haniebne, czyny tego czleka,
 Tak mu odpowie z daleka:
 Ja-m wyssał krew z jój serca, na tém dość mi
 było,
 By to słabe stworzenie, życie zakończyło.
 A jeżeli cię jeszcze, twa ciekawość budzi,
 Wiédz, — i wierz, iż widziałem, często to u
 ludzi,

Którzy swoich i współ-bliźnich, gnębiąc po-
 tajemnie,
 Ranią serca, i tak ich, zgładzają nikczemnie.
 Na te wyrazy zadrzał; — nieśmiały wznieść
 swych powiek,
 Człowiek!

Zwierciadło prawdy.

Zebrane liczne grono, rozpustnych młodzi-
 ków,
 Obsiadło hazardownej gry kilka stolików;
 Wiele dni już minęło, i noce niespanych,
 Prawemu spoczynkowi od Stwórcy nadanych,
 A walka gry zacięta; rozstrzygała losy,
 Przesuwając na stołach, srebra, złota stopy.
 Nakoniec, kiedy żądze, haniebne omdlały,
 I strony nieszczęśliwe, wszystko postradały,
 Gdy znikło im już wszelkie, nadziei widziadło,
 Wtém, staje przed ich wzrokiem, ogromne
 zwierciadło!

Przerażeni zjawiskiem, nie wiedzą znaczenia,
 Lecz, zgłuszone rozpustą, budzą się sumienia;
 Ktokolwiek się w nim przejrzał, oczy swe za-
 krywał,
 I ten, co był zniszczonym, — i co podle
 zgrywał. —
 Patrzą po swoich twarzach, kaźden hańbę
 widzi,
 Nie śmie spojrzeć na siebie, drugiego się
 wstydzi;
 A wtém, głos dał się słyszeć, gdzie zwiercia-
 dło stało :
 „Młodzieży! co pogardzasz, prawych uczuć
 chwałą;
 Co najpiękniejsze chwile, życia swego plamisz,
 I grą upadlającą, żądze swoje mamisz;
 Spójrzyj, — oto przed wami, prawda święta
 stoi,
 Ta, nie zna przeszkód żadnych; ani was się
 boi;
 Dopóki w tym haniebnym, trwać będziecie
 błędzie,
 Zwierciadło czynów, zawsze, przed wami stać
 będzie!“

— I powtórnie młodzieńcy, po sobie spoj-
rzeli,
Dreszcz groźby wskrós ich przejął, przed su-
mieniem drżeli,—
A zbawczą prawdę, którą, wyrzekło zwier-
ciadło,
Jeszcze raz powtórzyło, — i w ziemię za-
padło.

CZĘŚĆ DRUGA

POWIĄSTKI

— I powrótnie inobchony, po sobie spoj-
ixell

Przeax groxy waktos ich przexyl, przex su-
mientem dzieł —

A xowex prawdę, ktora, wyteklo zwier-
ciadło —

Jeaxce tak powortylo — i. w xienne na-
padlo

WSTĘP DO POWIASTEK.

CZEŚĆ DRUGA.

POWIASTKI.

Szczęśliwy! o szczęśliwy! kto ma serce czyste,
Serce, które nie szarpia zgryzoty wieczyste; —
Temu ranna swoboda, sen miły przerywa,
A do trwałej, i czystej, uciechy go wzywa. —

Fr. Karpiński.

WSTĘP DO POWIASTEK.

Dziatki!

Nie pod postacią prawdą, tu się wam przed-
stawia,

Człowiek równy drugiemu, skłonności wy-
jawia.

Żądze złych, często kryje, poczciwości szata,
Co się szkodliwie jawi, na obszarze świata.

Gdy więc słabo tkwi cnota, przykład zły ją
zniszczy,

Znęci swoją uludą; co pozornie błyszczą.

Więc też z młodości wiosną, szczepicie chlu-
bne czucia;

Chroniąc pilnie swe serca, od skazy zepsucia;

A gdy w cudzych przykładach, błysną święte
czyny,

Naśladujcie je bacznie, wyglądając winy. —

Bo tylko cnota jedna, szacunek ma trwałą,

A występki, w pogardzie — przepada zuchwały.

K a z i o.

Zapędził się raz Kazio, za motylkiem w sadzie,
 Chwyta go, i w czapczkę, bez litości kładzie.
 Widzi jeszcze drugiego, co usiadł na róży,
 Że go złapie, jest pewien, mile sobie wróży.

Lecz gdy chciwie za nim biegnie;

Na ziemi legnie,

Czapczka mu spada,

Motylek wypada.

Pokłął ręce o róże — oczki łzami zrosił,
 Widząc, jak wiatr motylki, swobodne unosił.
 Tak to moje dziateczki—Stwórca to nie lubi,
 Kto istoty niewinne, ręką swoją gubi.

L u d w i ś.

Jak ta sroczka, pięknie gada,

A nawet, i wiersze składa;

Rzekł raz do ojca Ludwiś, wielce ucieszony,
 Jój szczebiotaniem zdziwiony. —
 Cóż z tego, rzecze ojciec; kiedy to co umie
 Nic nie rozumie.

Więc korzyść jaką, z tego téż posiędzie,
 Jest ta — iż sroczką, zawsze tylko będzie. —
 Tak i pomiędzy ludźmi, lube moje dziecię,
 Znajdziesz sroczek, dużo w świecie.

P i o t r u ś .

Piotruś zjadł raz jabłko leśne,
 Zrobił minkę niepocześnie;

Ścierpły zęby,

Tak iż gęby,

Niemógł zamknąć

Śliny przemknąć. —

Dobrze tak łakomcy bywa,

Gdy mu na słodkich nie zbywa.

Marynia w gronie starszej rodziny.

Kichnął kotek! Marynia na zdrowie mu rzekła,
 A gdy się wszyscy śmieli — biedna raczka
 spiekła.
 Poznała; iż to tylko, mówi się do ludzi,
 Kto z zwierzątkiem rozmawia, to śmiech za-
 wsze wzbudzi.

L u d w i s i a.

Mała Ludka gdy tylko, upatrzyła chwilkę,
 Zawsze lubiła w swoich paluszkach mieć śpilkę.
 Raz Matka doniej rzekła: ej, rączkę nią skłujesz,
 O Mateczko! ty tylko, tak ze-mnie żartujesz.
 I ledwie to wyrzekła; — z bólem zawołała;
 O czemuż ja cię Mamo — zaraz nie słuchała!

Jaś przy ogniu.

Jak téż płomień ten gorący?

Pytał Ojca, Jaś śmiejący. —

Jak się dotkniesz, to zaboli,

Więc nie radzę téj swawoli. —

Jednak, sprawdzić chciał to malec,

Chętka wzięła, — przytknął palec.

„Ach! jak parzy; — ratuj Tato!

Daj lekarstwo jakie na to;“

Ojciec widząc, wszystko z bliska,

Nadszedł w prędkce do ogniska;

A co? — czyliż nie mówilem!

Radą pewnie nie zdradziłem;

Teraz sobie w rączkę dmuchaj,

A na przyszłość, starszych słuchaj.

Wybiegł szkolny.

Sprzykrzywszy sobie ciągle, Staś nauk mozoły,

Ułożył w myśli nie iść, chociaż raz do szkoły.

Lecz aby niechęć, nie była poznana,
Poszedł do Ojca, z głową zawiązaną;
A czując słuszną, obawę nie małą,

Wyrzekł nieśmiało:

Niemogę się dziś uczyć bo cierpię ból głowy;
Rzetelnemi na pozór, zapewniając słowy.

Więc mój synku, życzenie, moje jest naj-
szczęrsze,

Nie też niejeść, — to zwykle, lekarstwo naj-
piérwsze.

Nie w smak poszła mu ta rada,

Lecz wypełnić ją wypada.

Kręci się biédak, i ślinki łyka,

Bo coraz większy, głód go przenika.

A skoro już nadeszła pora obiadowa,

Wtém Stasio, wesół rzeknie: już nieboli głowa!

Poznał Ojciec zmyślenie, skarcił go surowo,

Za to, iż splamił kłamstwem, święcie dane
słowo. —

Tylko kto prawdą czyny swoje tu ozdabia,

Na szacunek powszechny od ludzi zarabia.

W ł a d y ś.

Ileż to uciechy było,
 Gdy się Władziowi zdarzyło,
 Jak wsadzone w doniczkę, nasienie cytryny,
 Przybrało postać rośliny.
 Dzielił z nim radość, Ojciec jego czuły;
 Lecz téż i przytém, myśli mu się snuły,
 By dziecku z tego zdarzenia powziętą
 Jakąś nauczkę, wpoić w umysł świętą.
 — Rzekł więc: niechaj to ziarnko, doda ci
 ochoty,
 W własném sercu zasiewać, nasiona do cnoty.
 Te pielęgnuj w swém życiu, i czynach tro-
 skliwie,
 A owoc z nich nagrodzi, trudy twe szczęśliwie.

Dzieci i Nauczyciel.

Dziatki, co po raz piérwszy bajek się uczyły,
 Jak-że się mocno wspólnie, nad niemi dziwiły;

Iż w tych, i bez-rozumne, jakie są stworzenia,
 Czyniły równe ludziom, swoje spostrzeżenia.
 Nauczyciel, co słyshał, niewinne rozmowy,
 By ich oświecić, temi, odezwał się słowy:
 Bądźcie w tém przekonaniu, moje miłe dzieci,
 Że i bajka pożytek, w sercach waszych wznieci.
 Choć w nich zwierzę, lub ptaszek, mowę na-
 szą wznosi,
 Człowiek to tylko działa, przez nich myśl
 swą głosi;
 Ich postaci pożyczca, aby zaród złego
 Każden w sobie wyniszczał; dążąc do dobrego.
 Kto więc w bajce naucza, niech to was nie
 dziwi,
 Lecz korzyść zawsze czerpcie — bo ta uszczę-
 śliwi.

Tadeuszek i jego dziadek.

Na ławeczce przed domem, siedział starzec
 siwy,
 Widokiem swego wnuczka małego szczęśliwy.

Dziadek był trochę słaby; — nieszczęsny ból
głowy,

Zmienił jego wesołość; a nawet głos mowy.

Tadzio to zważał, serce, jego się ścisnęło;

Zwiesił główkę, — i bawieć, już mu się nie
chciało.

Nie uszło to uwagi, staruszka czułego,

A więc mocno zdziwiony, przemówi do niego:

Dla czegoś-to tak smutny; — patrz, twoje za-
bawki,

Wszystkie leżą nietknięte, obok téj tu ławki.

Niemógł już dłużej wstrzymać, uczuć swoich
Tadzio,

Rzekł więc: mogeż być wesół — gdy chory
mój dziadzio!

— Wzruszenie starca silne, tłumilo mu słowa,
Ścisnąc wnuka; — cieszył, iż mniej boli
głowa,

I z radości płakali; — łzy to święte były,

Które przed tronem Boga, pewnie zaświeciły.

Antoś w kościele.

Wchodząc raz Ojciec z synem, w święto do
kościola,

Aby kornie przed Stwórcą, schylić swoje czoła;
Spostrzegł, jak Antoś łezkę, w oczkach swych
objawił.

Iż książkę z modlitwami,—w domu pozostawił.
Uspokój się, rzekł Ojciec; — Bóg na serce
zważa,

Przybliź się i bez książki, do Jego ołtarza.
Jemu nietylko słowa, chęć czysta, już drogą,
Dobre dziatki łąą szczerą, Boga wielbić mogą.

Dwaj żebracy i pan.

Stał żebrak, prosząc pana, o kawałek chleba,
Ten odrzekł: — alboż-to mnie tak-że żyć nie
trzeba?

Wtém, nadszedł drugi nędzarz, co miał kęs
ostatni,
Rozłamał go na dwoje,— podzielił los bratni.

W i c u ś.

Mały Wicuś, filut wielki,
 Choć dla małej bagatelki;
 Miał częsty nałóg, w oczy skłamać śmiało,
 Bo mu się czasem, jak sądził udało.
 Kiedy się raz z innemi, w schowanego bawił,
 I w osobnym pokoju, ukryty, czas trawił;
 Chłopy inni to widząc;— dalej-że przez figle,
 Zasunęli za nim rygle.
 Sam zaś, blisko stanąwszy, przed ogniem
 z komina,
 Jak-by ich miał przestraszyć, sobie przypo-
 mina.
 Wtém, na nieszczęście, suknie, nagle się za-
 tliły,
 A więc w krzyk: — Ach ratujcie! woła, co
 ma siły!
 Lecz nikt nie spieszył w pomoc, bo kaźden
 to wiedział,
 Że Wicuś prawie nigdy, prawdy nie powie-
 dzał.

Na gwałt tak wielki, wszędzie już słyszany,
 Przypada Ojciec cały pomieszany;
 A ocalając, od płomieni syna,
 Tę mu odwieczną, prawdę przypomina:
 Takie to zwykle kłamca, korzyści odnosi,
 Iż mu wtenczas nie wierzą — gdy i prawdę
 głosi.

Franuś i jego matka.

Franuś był raz niegrzecznym; Mateczki nie
 słuchał,
 Sparzył się; — a więc biędny, w rączkę swoją
 dmuchał.
 Wkrótce jednak ból ustał; — a Franuś z łzą
 w oku,
 Stał smutny wśród zabawek, sam jeden na boku.
 Nadszedłszy Mama, rzecze: widzisz jak to boli,
 Płaczesz! takie to zawsze skutki są swawoli.
 Nie Mamo, ja nie tego płaczę co cierpiałem,
 Lecz mnie to więcej boli, iż cię rozgniewałem.
 Uścisk Matki, był na to odpowiedzią całą,
 Szczęśliwa — iż jój niebo, takie dziecię dało.

Przyjazd wujaszka.

Matka.

Ach Józieczku! pójdz kochanko!

Ucieszysz się niespodzianką;

Twój wujaszek dobry jedzie!

Będzie pewno na obiedzie.

Wstań z łóteczka moje dziecię,

I prędko się ubierz przecie;

Wszak to już nie bardzo rano,

A tyś jeszcze tak zaspaną.

To mówiąc, wyszła Matka, na przyjęcie brata,

Którego nie widziała, przeszło już dwa lata;

Wita serdecznie! a pytania tkliwe,

Uspakajają serce jój troskliwe.

Lecz gdzież to Józia! wujaszek wyrzeczę?

Śpi pewno mała; — o temu nie przeczę;

I niecierpliwy idzie z jój Mateczką,

Lecz patrzą — puste, było już łóteczko.

Józia przy oknie, pobożnie klęczała,

I ranne modły, Bogą zasylała.

A skończywszy ich pierwej, jak zawsze przy-
 kładnie,
 Z serdeczną do wujaszka, radością przypadnie;
 Ten, ze łzami téż ścisłał, cnotliwą dziecinę,
 Pojawszy jój spóźnienia, istotną przyczynę.
 Niemógł się doś wydziwić, iż dziecię tak małe,
 Czulo, iż wpiérw należy, Bogu oddać chwałę,
 Rozpocząć dzień modlitwą; wynurzając dzięki
 Za łaski, które z Jego otrzymuje ręki.
 O ten przykład dziateczki, niech wam w ser-
 cach świeci.
 Bo Stwórca tylko takie, błogosławi dzieci.

J a ś.

Wiész-téż mój Ojczedrogi, comnie tak przeraża?
 Oto: rzekł Jaś z pogardą, widok kominiarza;
 Nieumyci, brudno chodzą,
 Pewnie oni ludziom szkodzą;
 A te czarne ich odzienie;
 Jakież sprawia obrzydzenie!

O źle sądzisz, rzekł Ojciec, mojedrogię dziecię,

Oni są potrzebni w świecie ;

Rodzaj to pracy, czyni ich takimi

Brzydkimi.

Jednak to nieprzeszkadza, żyć im tu poczciwie,

Tém samém i szczęśliwie.

Nie po zwierchnich pozorach, ocenia się ludzi,

Te najczęściej zawodzą; blask ich zwykle ludzi;

Brud z pracy, niezaczernia człowieka sumienia,

Każden, byle uczciwy — wart od nas uczczenia.

F r a n u s i a .

W licznym przyjaciół zjeździe, w dzień imie-

nin Matki,

Obok dam słusznych grona, były także dziatki.

Bawiono się rozmową; a zawile zdania,

Zwiększały również w starszych, i różne py-

tania.

Wtém Franusia, co cicho w kąciku siedziała,

Odpowiedź bez namysłu, także swoją dała:

Lecz w braku doświadczenia, gdy najmylniej
 rzekła,
 Poznała wkrótce błąd swój, i raczka upiekła.
 O dziatki! kto rozumem, jeszcze swym nie
 włada,
 Lepiej wprzód niech się spyta, niż źle odpo-
 wiada.

Dwaj bracia i ubogi.

Józio z Franusiem, starszym swoim bratem,
 W pogodny dzień latem,
 Wyszli do ogrodu
 Użyć sobie chłodu.
 Tak idąc, Franuś spostrzegł, starca ubogiego,
 I rzecze do niego:
 Dał nam Ojciec każdemu złoty na wisiemki,
 Zprzestroga, by nie splamić téj nowój sukienki;
 Kto się więc tego ustrzedz, z nas dwóch nie-
 postara,
 To podobna go jutro, ominie ofiara.

Więc gdyby nie szło mi o to
 Dałbym ci coś z ochotą.
 Jednak-że Józio, choć młodszy daleko,
 Serce miał tkliwsze, nad starym kaleką;
 A dając z chęcią, złoty dla biednego,
 Te tylko słowa, wyrzekł do niego:
 Ja i tak jój nie splamię, a wspomogę ciebie
 W twojej tak wielkiej potrzebie.
 Wzruszony nędzarz, wznosił ręce do Nieba,
 Za wsparcie hojne, na kupienie chleba.
 Ach! błogosław ci Boże! o cnotliwe dziecię!
 Pilnuj zawsze téj drogi, nieskażonej w świecie;
 Bo lepiej choéby nieraz splamić to odzienie,
 Niż sercem bezlitośnem skazić swe sumienie.

Ołtarzyk dziecienny.

Już od tygodnia dziatki w domu się krzątały,
 Gdyż ołtarz, jaki widzą w kościołach, mieć
 chciały.

Więc różne sprzęty, ozdoby znosiły,
 Pracując ile wydołały siły.

Lecz przy tych chęciach były zdania sprzeczne
 Nawet i słówka wtrącały niegrzeczne,
 Tak coraz dalej, gdy rosła niezgoda,
 Wszystko zniszczyła nieszczęsna przygoda;
 Bo gdy już świeczki zapalone stały,
 Które ołtarzyk ten oświecać miały;
 Gdy je z rąk do rąk sobie wydzierano chciwie,
 Wszystko zajętym ogniem spęzło nieszczę-
 śliwie.

Na płacz i wrzawę nadszedł Pleban stary,
 Co ich nauczał zasad Świętej wiary;
 Tak to moje dziateczki;— rzeknie im łagodnie;
 I w zabawach należy postępować zgodnie.
 Niedosyć to jest stawiać kosztowne Ołtarze,
 A kazić je przez kłótnie i bratnie potwarze;
 Jedną z najmilszych ofiar przed Boga obli-
 czem,
 Jest miłość wspólna, bez niej — to wszystko
 jest niczem.

Marynia i Adaś.

Na stołeczku Mania siadła,
 I kromeczkę chleba jadła. —
 Pójdź siostrzyczko do kącika
 Rzekł Adaś — dam ci piernika,
 Ta odrzecz: — To zabawnie,
 Alboż nie można dać jawnie?

Bom ja go, odrzekł Adaś — wziął z tej tu
 szufladki

Naszéj matki.

A więc chcesz, abym była współniczką do
 złego?

O! rzecze mu siostrzyczka — nie będzie nic
 z tego;

— Mnie miłszy chlebek, gdy ten uproszony,
 Niż piernik wzięty; — choćby i złocony.

Szlachetne dzieci.

Gdy zima silne swe mrozy zwiększała,
 Przyszła pod pałac raz sierota mała;
 I marznie biędna, i napróżno czeka,
 A nie spostrzega żadnego człowieka.
 Nareszcie się odważa, i w przedpokój wchodzi,
 Gdzie właśnie się bawili dwaj panicze młodzi.
 Służący gdy ją spostrzegł, chcąc ciepła oszczędzić,
 Chciał za drzwi nieszczęśliwą dziecinę wypędzić;
 Mówiąc: wszak-to jałmużnę, przed pałacem dają,
 A te włóczęgi tu się wchodzić ośmielają. -
 Lecz dziatki na te słowa sługę obstały,
 I czyn jego nieludzki, serdecznie zgromiły.
 Sierotę zaś ze zwykłą chęcią swą usłużną,
 Pokrzepiły i ciepłym i szczodłą jałmużną.
 O dziatki! naśladowcie serca tak wspaniałe,
 Co stanowią człowieka najpiękniejszą chwałę.

Bo zawsze, lecz szczególnie, gdy nastanie zima,
 Kto nad nędzarzem litości tu niema;
 Łzy mu jego nie otrze, nie ukróci głodu,
 Ten ma zimniejsze serce nawet i od lodu.

J ó z i a.

Gdzie są grymaśne i złośliwe dzieci,
 Zawsze w ich twarzy szpetność tylko świeci.
 Józia, co ten obrzydły nałóg miała w sobie,
 Prawie w codziennój dnia dobie;
 W czem się tylko jój woli zadosyć nie stało,
 Zaraz w płacz — a i krzyku było téż nie mało.
 Lecz co gorsza twarzyczka, — a była dość
 ładna,
 Stała się inną, słowem, tak w prędcie szka-
 radną,
 Iż wszyscy na nią z pewną pogardą patrzyli,
 Że to ta sama Józia, piękna, — nie wierzyli.
 Kiedy więc napomnienia i wszelakie prośby,
 A nawet groźby;

Nie skutkowały;
 Pomógł na pozór sposób jeden mały,
 Gdy swym zwyczajem Józia, krzywiąc się
 płakała,
 Matka wzięła zwierciadło, aby się przejrzała.
 Skoro więc swą twarzyczkę, szpetną w nim
 spostrzegła,
 Przerazona do swego kącika pobiegła.
 Środek skutkował, odtąd — grzeczną była
 Józia,
 Każden ją kochał, — mówiąc: teraz piękna
 buzia.

Ż a r t.

Jaś rozpustny orzeszek laskowy rozszczypał,
 Zjadł jąderko, w połówki zaś piasku nasypał.
 A zlepiwszy go zgrabnie, krzyknął na Mar-
 cinka,

Swojego kuzynka;
 Jeżeli zgryziesz ten orzeszek,
 To ci więcj dam w twój mieszek.

Chętny téż na to mały niewinny chłopczyzna,
 Wziął go w swe ząbki, ścisnął— i pękła lupina.
 Lecz gdy zamiast jąderka, poczuł pełno piasku,
 Więc w płacz biedy Marcinek,— a na odgłos
 wrzasku,

Przyszli Jasia rodzice; ostro go skarali,

I orzeszki zabrali.

Niech kaźden swawolnik téj prawdy się na-
 uczy,

Iż dopóty żart miły,— póki nie dokuczy.

L e o ś.

Mały Leoś, leniuch wielki,

Lubił się na sposób wszelki,

Od nauki zawsze chronić,

Czas na próżnowaniu trwonić.

Raz mu karą zagrożono,

Jak naukę naznaczoną;

Gdy jutrzejszy dzień przypadnie,

Nie nauczy się dokładnie.

A w tém, ktoś mu przez figle, z koleżków
 doradził,
 Aby na noc swą książkę pod poduszkę wsadził;
 A to pomyślnie, tak mu się przyda,
 Iż bez mozołu, naukę wyda.
 Uślucał, — bo próżniaków taka rada ludzi,
 Lecz gdy w miłej nadziei nazajutrz się budzi,
 Nauka sama nie weszła do głowy,
 I upominek odebrał surowy.
 Tylko z pracą usilną, zawierzcie mnie dzieci,
 Nauka chlubne skutki w umysłach wam
 wznieci.

Michaś i jego ojciec.

Kilka miesięcy Ojca nie było już w domu,
 I powrót jego nie był wiadomy nikomu.
 Michaś ciągle się pytał: kiedy Tatko wróci?
 O! bo bez niego synek bardzo się tu smuci.
 Wtém, ledwo to powiedział—zaraz po obiedzie
 Wchodzi sługa i rzecze: Pan nasz dobry jedzie!

Wybiegł Michaś czémprędzėj z radością po-
 witać,
 I o zdrowie się Tatki swego pierwszy spytać.
 Lecz biegłszy nieostroźnie — padł dobry
 chłopczyna,
 A kulejąc; z łzą w oku; — choć cierpieć za-
 czyną,
 Jednak ujrawszy Ojca, — w objęcia się ciska,
 I z całą serdecznością ręce jego ściska.
 Lecz Ojciec łezki dostrzegł; więc pyta zmar-
 twiony:
 Pomimo twój radości, — czegoś tak zmie-
 niony?
 Michaś téż prawdę wyznał; lecz ból go nie
 smucił;
 Rzekłszy: — już nie nie cierpię — gdy Tatko
 mój wrócił.
 — O dziatki! jak wam piękny przykład Mi-
 chaś daje,
 W szczęściu — iż Ojca ujrzał; — cierpienie nie
 uznaje.
 To téż gdy w kwiecie wieku, miłość tak już
 świeci,
 Bóg nagrodzi w przyszłości szczerze takie
 dzieci.

Brat i siostrzyczka.

Jasiu! Jasiu! pójdź się bawić,
Po cóż próżno czas tak trawić.
Wymyśl jaką grę wesołą,
A nie — to się gońmy w koło.
Wtém, braciszek jój odrzecz: —
Zabawa nam nie uciecze;
Lepiej weźmy tę książeczkę,
Siądźmy — czytajmy troszeczkę;
Są w niej powiastki; — a w nich i nauka,
W takiój rozrywce, kto pożytku szuka,
Nie może lepiej czasu tego użyć,
Co próżnej tylko miał zabawie służyć.
Siostra starszego brata z chęcią usłuchała,
A poznawszy w tém korzyść — więcej go ko-
chała,

J u s t y n k a .

W sam dzień Imienin, drogiej swojej Matki,
 Wyszła Justynka na łączkę po kwiatki.
 Po długiej pracy, lecz z plonem w swój dłoni,
 Któren był także ozdobą jój skroni;
 Gdy powracała z radością tak sama,
 Pierwsza ją w progu wita dobra Mama.
 Komuż to rzeczce: do swojej Justynki,
 Niesiesz te piękne i wonne roślinki?
 O! to dla ciebie! — przyjm Mamó kochana!
 Lecz patrz — jak ja téż jestem w nie przybrana!
 Strój ten ci mile do oczu przypadnie,
 Nie prawdaż, że mnie musi być w nich ładnie?
 — O lube dziecię! kwiatki coś zebrała,
 I któreś z serca mnie ofiarowała;
 Są stokroć miłsze, niż te co cię zdobiają,
 Bo one w próżność tylko myśl sposobiają.
 Wiédz moja droga, iż są inne kwiaty,
 Które świetności nie tracą i z laty;
 Zawsze jaśnieją, — a temi są cnoty,
 W te się ozdabiać, nabieraj ochoty.

Gdyż kwiatek zwiędnie, w duszy czezość zo-
stawi,
A cnoty Stwórcę zawsze błogosławi.

Ubogi staruszek.

Szedł ulicą staruszek, biedny, pochyłony,
Ósmém téż już krzyżykiem wieku obarczony.
Nie jeden go ujrzawszy w tak dotkliwej nędzy,
Ujęty miłosierdziem; — udzielał pieniędzy.
Wtém, przechodził pan wielki, i talar mu
rzucił.

Ten, potoczył się w błoto; — bogacz się od-
wrócił.

Niemógł się drżący starzec nachylić po niego,
Ale prosi młodziana, ze szkół idącego,
Aby względny na jego bez-silność zgrzybiałą,
Raczył mu tę przysługę wyświadczyć wspa-
niałą.

Ten, czuciem i szacunkiem starości przejęty,
Zdjął czapkę, i oddaje, pieniądz mu podjęty.

Wtém, spotkał Ojca, któren wstrzymał go
w zapędzie,
O synku! rzece: w wielkim jesteś teraz
błędzie;
Kwiat ten, jest to trucizna i bardzo szkodliwa,
Co w ponętnej urodzie tylko się ukrywa.
Niech to dla ciebie zbawczą, stanie się prze-
stroga,
Jak można nieostrożność, przypłacić zbyt
drogo.
Nie wszystko, co powabne, ujrzysz synu
w życiu;
Stać się może dla ciebie korzystnym w użyciu.
Słuchaj rad doświadczonych i rozsądnych
ludzi,
A pozór, w skutku zdrađny, pewno cię nie
złudzi.

Broniś i Jan stary sługa.

Broniś, co pieścizotami miał zepsute serce,
Wszelkie dary, gdy małe, miéwał w ponie-
wierce.

Raz sługa jego Ojca, stary, wysłużony,
Od którego synalek wielce był lubiony;
Przyniósł mu w podarunku, w dzień Imienin
jego,

Wyrobionego z drzewa konika małego.

Wytrącił go z rąk Jana zepsuty chłopczyzna,
Lecz widzi, iż ten zniemiał, — i płakać zaczyna.
Co ci jest — rzecze Broniś — prędko do-ń
przyskocz,

Dla czego twe sędziwe zrosiły się oczy?
— Ach paniczu, odpowie, słowami rzewnemi,
Wszedłem powinszowanie złożyć ci z innemi,
A ten mały podarek, choć ubogi tyle,
Byłem pewny, iż przyjmiesz odemnie go mile.
Lecz widzę, iż ty tylko wielkie cenisz dary,
Pogardzasz tkliwém sercem, co ma sługa stary,
Co cię tuląc do łona, bawił i piastował,
Ten to, któremuś teraz pogardę zwiastował.

Poznał winę swą Broniś—wezbrało się czucie
 Łza żalu płochosć jego, stłumiła w minucie.
 Rzucając się w objęcia pocziwego sługi,
 Tak odrzekł, — gdy za błąd swój przeproszał
 czas długi:
 Dzięki ci zacny Janie,— bo z ciebie poznaje,
 Jak dary teraz cenić — kto ich z serca daje.

Jędrus w ogródku.

Oddając się najmilszój lat swoich swobodzie,
 Latał Jędrus po ogrodzie.

A spojrzawszy na ścieżki, co kwiatki zdożyły,
 Wszedł między jedną, którą róże ubarwiły.

Z radością ujrzał Ojca; — i do niego rzecze:
 Piękny tu wprowadzie zapach, ja temu nie
 przeczę,

Lecz gdzie się ruszę, to kole,

Więc w inną stronę przejsć wolę.

I wiem, że mnie na to

Pozwolisz mój Tato.—

O najchętniej, moje dziecko,
 Lecz przytém téż nauczkę dam ci małą przecie:
 Niechaj ta dróżka z tak zdobnym obrazem,
 Będzie przestrogą od złego zarazem.
 Bo jak te róże co cię pięknością zwabiły,
 Nieznaczone w sobie kolce szkodliwe mieściły,
 Tak i droga występków swym pozorem nęci,
 Aby mogła w nas zniszczyć zaród dobrych
 chęci.

Lecz téj unikać mężnie ci trzeba,

By nie zagniewać na siebie Nieba.

Felús i jego Ojciec.

Wszedł z Felusiem Ojciec raz daleko,
 A spoczywając po nad samą rzeką;
 Spostrzegli górę piękną i wyniosłą,
 Małą choinką gdzie niegdzie zarosłą.
 Pozwól wejść na nią, mój Ojczy kochany!
 Wyrzeknie Felús; — odwagą zagrzany.

Chętnie odpowie Ojciec: spróbuj swojej siły,
 Będzie to dla mych oczu widok bardzo miły.
 Góra ta nie jest przykrą, więc dalej a szczerze,
 Postępuj naprzód śmiało, mały bohaterze!

Lecz dziecię do połowy, gdy weszło — wró-
 ciło,

Rzekłszy: iż mu się dalej iść już uprzykrzyło.

To nie dobrze mój synku, Ojciec do-ń prze-
 mówi,

Wytrwałość pracę wieńczy, i radość stanowi.

To mówiąc: wziął go z sobą, na szczyt wznio-
 słęj góry,

Okazując mu obraz cudownej natury.

Dziecię nie mogło dosyć odchwalić widoku,

Jaki się nagle odkrył zdziwionemu oku.

Czujesz teraz rzekł ojciec, korzyść z poświę-
 cenia,

Niech więc twój umysł baczenie skutki jęj
 ocenia;

Bez trudów nie osiągnąć nie można na świecie,

Tę radę chowaj w sercu zawsze moje dziecię.

Wezbranie Wisły pod Warszawą.

Kiedy rozszedł się odgłos przeraźliwej trwogi,
 Iż wylów Wisły szerzy, nagle postęp srogi;
 Każdy biegł z żalem w sercu, wśród niezło-
 mněj woli,
 By wsparciem, lub ratunkiem otrzć łzę nie-
 doli.

I w pewnym domu Ojciec rodziny dość licznej
 Dażył tam; — gdy wtém, ujrzał, jak syn jego
 śliczny,
 Stał w kąciku i płakał, — lecz tak głośno,
 rzewnie,
 Iż Ojciec począł za to strofować dość gnie-
 wnie.

Kiedy go jednak nie mógł uciszyć nakazem,
 Woła bliżej, przyczyny, dopytując razem.
 O mój Tato! odpowie ze łzą chłopczyk śmiały,
 Ja płaczę, że tak jestem dzisiaj jeszcze mały,
 Iż nie mogę pomimo szczerěj mojej chęci,
 Nieść pomoc, gdzie ci biędni smutkiem są
 przejęci. —

— Dziecię moje najdroższe! rzekł Ojciec
wzruszony,
Bóg uczucie twe przyjął — bądź tém pocie-
szony;

O! pielęgnyj ten zapal, co w twém sercu tleje,
A spełnisz me najmilsze o tobie nadzieje.
Bo komu łza litości w poranku lat ścieka,
Ten najgodniej uzacni przeznaczenie człeka.

Dzień imienin Tomaszka.

Przed samemi świętami, Zbawcy narodzenia,
Tomuś rocznicę swego obchodził Imienia.
Lat dwanaście już kończył — umysł kształcił
mile,
Nigdy serca Rodziców nie zatrul na chwilę.
Ojciec w dniu tym, przy bardzo ważném za-
trudnieniu,
Na samém miał temczasem poprzestać ży-
czeniu.
Rzecz jednak do Tomcia: drogie moje dziecię!
Sądzę iż moje chęci znane ci są przecie;

Więc choć później dowodu Ojciec niepomnie,
 Bądź pewnym — nim oktawa Święta twego
 minie,

Skromny datek pieniężny złożę ci w ofierze,
 Lecz, co za niego kupisz, powiesz wprzód mi
 szczerze.

A teraz, przystąp — odbierz błogosławieństw
 dary,
 Które na dobre dziecko zléwam dziś bez miary.
 Ach Ojcze! rzeknie Tomuś: jestem najszcze-
 śliwszy!

Bo to, coś teraz wyrzekł: — mam za dar naj-
 wyższy;

Cóż może mnie być droższém, kiedy błogo-
 sławisz,
 Gdy Bóg wysłucha — szczęście najpewniej-
 sze sprawisz. 4

— Pozwól tylko korzystać z twego przyrze-
 czenia,

Abym tém, co otrzymam, wsparł biednych
 cierpienia,

Wszak dzień Imienin moich, zwiększył liczbę
 wieku,

A Bóg co dzień pomnażać każe cnoty w człeku.

Szczęście, i łzy radości, Ojcu głos ztłumiły;
 Oby się takie dziatki, wszystkim tu rodziły!

Młodzi żeglarze

Raz mały Ignas w gronie swoich rówienni-
 ków,
 Czterech podobnych jemu rozpustnych chłop-
 czyków,
 Wybiegł niepostrzeżony do bliskiej sadzawki,
 Używać z nimi razem, szkodliwej zabawki.
 Po różnych figlach wszyscy wsiadają do łodzi,
 Ignas chwytą za wiosło, z odwagą dowodzi;
 Wtém, zaledwie od lądu z trudnością odbili,
 A czółno niebezpiecznie skręca się i chyli.
 Nikt na nieszczęście nie był zdolnym z nich
 kierować,
 Lecz, co u starszych widział, to chciał naśla-
 dować.
 Obawa więc się zwiększa, — krzyk wydają
 wszyscy,
 Lecz ludzie pracujący, co byli ich bliscy,

Baczni na głos ratunku w prędcie przybie-
 gają,
 I od śmierci niechybnéj wszystkich wyba-
 wiają,
 O dziatki! w każdym życia waszego tu kroku,
 Powinniście się poddać doświadczenia oku.
 Wiek wasz, jest jak ta łódka, co bez prze-
 wodnika,
 Wpada na wir zabójczy, — w końcu, nędznie
 znika.

W a l u ś.

Czas słotny Walusiowi zniszczył raz nadzieję,
 Miał bowiem z Rodzicami wyjść między aleje.
 Siedział, patrząc żałośnie, jak w ludnej War-
 szawie,
 Nikt się teraz przy deszczu, nie pokazał pra-
 wie.
 Ojciec tak stroskanego, chętnie cieszył syna,
 A widząc, że to główna cierpień tych przy-
 czyna;

Radził mu czém się zająć, aby myśl odwrócić,
I te tak niepotrzebne zmartwienie ukrócić.

W takim razie, książeczka rozrywkę ci głosi,
To więcéj zadowolnia, — co korzyść przynosi.
Pamiętaj na to zawsze, drogie moje dziecię,
Iż wszystko z czasem możesz odzyskać na
świecie;

Ale nigdy napróżno czasu straconego,
Któren dziś trwoniąc, kiedyś odżałujesz tego.
Chwytaj więc drogie chwile; niech te skar-
bem będą,

Ceniąc ich, — one pewne szczęście ci zdobędą.

C h w i l k a.

Czyniło dziecię raz Ojcu pytania,
Iż do dobrego, lub złego działania;
Potrzeba pewnie czasu niemało,
Aby się jedno, lub drugie stało.
Wtém, gdy to mówi, przychodzi ubogi,
Stary kaléka, o kiju, bez nogi;

Dziecię natychmiast w litości usłużne,
 Wziętą od ojca, daję mu jałmużnę.
 I zrozumiało zaraz w minut kilka,
 Że to sprawiła jedna tylko chwilka.
 Tak więc, rzekł Ojciec, moje miłe dziecię;
 Wiész już jak chwila dużo znaczy w świecie.
 Szczęśliwy, kto je w dobrych czynach liczy;
 Bo taki chlubne Imie tu dziedziczy.

Dziadek i jego wnuczek.

Mój dziadziu drogi! wy tak długo już żyjecie
 Więc mnie powiedzcie téż przecie:
 Jak daleko jest do Nieba?
 I którądy to iść trzeba?
 O! bo jabym tam pragnął także przemieszki-
 wać,
 I szczęścia tak wielkiego, — bo z Bogiem
 używać.
 Dziadek westchnąwszy rzecze: mój wnuczku
 kochany,
 Bądź przekonany;

Iż Niebo, ten przybytek nagrody dla człeka,
Co z nieśmiertelną chwałą, na wybranych
czeka;

Nie tak łatwo pozyskać jak się tobie zdaje,
Są to dusz zasłużonych wiekuiste kraje.

Dobrze, iż w kwiecie wieku nabierasz ochoty,
Dostać się tam, gdzie żyją te szczęsne istoty;
Lecz pomnij, iż ztąd tylko jest jedyna ścieżka,
Co wytknięta przez cnoty — wiedzie, gdzie
Bóg mieszka.

Kto w swoim sercu promień tego szczęścia
wzniecił,

A wiernie pełni to, co Stwórca pełnić zlecił;
Ten może mieć nadzieję, iż kiedyś posiędzie
To królestwo, co końca nigdy mieć nie będzie.
Lecz przeciwnie, kto życie, żądzą niecną lu-
dzi,

Występkami je kazi — swe sumienie brudzi,
Kto z plonem cnót nie stanie przed obliczem

Boga,
Dla tego będzie wiecznie, zamkniętą tam
droga.

Skoczek na linie.

W małej mieścinie,
Skakał na linie;
Sztukmistrz młodziuchny,
Zgrabny, — leciuchny.
Giał się, wypręzał,
Wszystko zwyciężał;
Tak iż lud głosił,
Gdy się unosił;
Iż nie ma kości
Przy swój zręczności!
Podsycon sławą,
I pochwał wrzawą;
Gdy coraz śmielsze,
Nowe, weselsze
Wyrabiał skoki,
Padł — potłukł boki.
Bo kto w pochwałach bywa zaślepionym,
Łatwo się może stać upokorzonym.

Zygmus i Jan stary ogrodnik.

Po skończonej nauce, przy miliej pogodzie,
 Zygmus sam jeden chodząc wolny po ogro-
 dzie;
 Wstrzymał się, gdzie ogrodnik, stary, wysłu-
 żony,
 Przesadzaniem był drzewek, wielce zatru-
 dniony.
 Czemuż to, rzecze dzisiaj, mój poczeiwy Janie,
 Rozpocząłeś tych małych drzewek dobywanie?
 One sobie w gęstwinie tak swobodne rosły,
 A ty ich wsadzasz w miejsca, gdzie te stare
 poschły.
 — Przepraszam cię paniczu! to nie są gę-
 stwiny,
 To u nas szkółką zowią; — z tej to więc przy-
 czyny,
 Gdy w niej te małe drzewka, do pewnych lat
 wzrosną,
 Z nadchodzącą następnie dla nas wszystkich
 wiosną;

Wszczepiamy w nie gałązki z innych drzew

Które później owoce zrodzą pożądane,

Niech też przytém staremu powiedzié się

Iż i panicz kochany, co do szkółki chodzi,

Tak w niej zawsze przebywać zapewne nie
będzie,

Lecz z czasem, jak te drzewka dojrzałość po-
siędzie.

A gdy cnoty, nauki wszczepią się w pamięci,
Wydadzą chlubny owoc, i nagrodzą chęci.

Przyjdzie czas, panicz pozna to w swoim ser-
duszk,

I za moją życzliwość— wspomni o staruszk.

Ze łzą w oku Zygmuntek, Janowi dziękował,

I do śmierci w swém sereu słowa jego cho-
wał;

Bo kto szczerze zapragnie postępować z enotą,

Choć stan niższy przemawia; — usłucha z o-
chotą.

Dziecię pod krzyżem.

Po długiej niebytności, w swych dobrach
dziedzicznych,
Wracał do nich w jesieni, pan z wód zagra-
nicznych.

Bliski domu, gdy radość serce mu przenika,
Spostrzega klęczącego pod krzyżem chłop-
czyka.

Oddał sam hołd należny znamieniowi krzyża,
A zajęty dziećciem, — do niego się zbliża:
Kto ty jesteś mój mały; — o co prosisz Boga?
Zapewne cię przygnębia wielka nędza, trwoga!
Dziecię nagle spytane, trochę się zmieszalo,
Wkrótce jednak ze łzami, — tak odpowie-
działo:

„Ja jestem syn najmłodszy, z téj wsi ekonomą,
Co go rządcą tutaj, wypędził dziś z doma.
Teraz biędny mój ojciec i z matką bez chleba,
Przezemnie swoje prośby zanoszą do Nieba.
Codzień błagam tu Zbawcę, krzyż Jego całuję,
W nadziei, iż Rodziców z nędzy wyratuje.“

Rozczulił się czci-godny pan mową dziecińcy,
 Zdziwiony, znając wierne Ojca jego czyny,
 Zabrał z sobą chłopczyka, przywiózł go do
 domu,

Niedając do poznania nic zaraz nikomu.

Wyśledził jednak wkrótce, zarządcy bezpra-
 wia,

Iż ten, by pokryć zbrodnie, ucziwych od-
 prawia;

Natychmiast go więc z wzgardą od siebie od-
 dalił,

A los sługi wiernego, do skonu ustalil.

Chłopczyka zaś w nagrodę za szlachetne czyny,
 Policzył między własne w swoim domu syny.

Dziecię znów pod krzyż Zbawcy pobiegło
 cnotliwe,

Złożyć mu tam pokornie dzięki swoje tkliwe.

I żyło téż wielbione; -- Bóg mu błogosławił,

I za wzór innym dziatkom do cnoty zostawił.

Przyjaciele.

Otoczony majątkiem i przyjaciół mnóstwem,
 Młody panicz w ich gronie, stał się prawie
 bóstwem,

Nigdy się też na chwilę nawet nieośmielił,
 Iżby dary fortuny wraz z niemi nie dzielił.

Ileż za to oświadczeń z ich strony płynęło,
 Każde-by serce mężnie dla niego ginęło;

Jak w szczęściu, tak cierpieniu, rzekli mu
 w zapale,

„My się wszysecy dla ciebie poświęcim wy-
 trwale.“

Wtém los smutny wszystko zmienia,

Traci panicz zdrowie, mienia,

A z téj chmary swych czcicieli,

Z tych serdecznych przyjacieli,

Pozostał tylko wierny sługa jego stary,

Aby z nim wspólnie znosić srogięj doli kary.

Niechlubmy się iż licznych tu przyjaciół mamy,

Gdy szczęście nasze zgaśnie, liczbę ich po-
 znamy.

S t e r n i k.

Na morzu wśród bałwanów rozhlukanych
srogo,

Płynął okręt z ładunkiem, i wartością drogą.
Gdy burza coraz większa,— wzmaga się i sili,
Ci wszyscy, co się na nim nieszczęśni mie-

ścili,
Zaczynają rozpaczać i lzy lać obficie,

Pewni, iż postradają najdroższe im życie.

Wtém, sternik głos zabiera, i tak do nich
rzecze :

„Podzielam waszą bojaźń — boleści nieprze-
czę;

Ale spojrzycie wszyscy z ufnością do Nieba,
Czyliż nadziei w Bogu dochować nie trzeba ?

Ten, którego dosięga robaczka opieka,

Miałżeby niewysłuchać błagania człowieka !

Mnie choć już żadna pomoc tu nie pozosta-
nie,

Ufać do końca będę w Tym Wszechwładnym

Panie.“

Lecz słabiej byli wiary ludzie z nim pływający,
 Wyrzucali mu z gniewem, iż ślepo wierzący,
 Gdy my zginiem — cóż ciebie tu ocalić zdoła?
 Tak każdy się do niego odzywał do koła.
 Wtém, ryknęły bałwany — jęk słychać z okrętu!
 Rozbija go pęd fali o skałę do szczętu;
 Tonie w otchłaniach ludność, co się w nim mieściła,
 A sternika wybawia Opatrzności siła.

Rolnik i dwaj jego synowie.

Gdzie się to stało, mniejsza, — byle tego dowieść,
 Co w nauce przedstawia ta rzetelna powieść.
 Miał wieśniak dwóch już zdatnych wyrostków
 do pracy,
 Jednemu imie Józef, drugiemu Ignacy.

Przy schyłku swego życia, tak do nich raz
rzeknie :

Czas by wam jać się pluga, tak żyć już nie
pieknie ;

Oto rola gotowa — tę, jednemu daję,
Nie jest wprawdzie grunt pszenny, sam to
wam wyznaję,

Drugą lepszą połowę, trzeba wprzód karczować,
wać,

I nim chléb Bóg z niej zrodzi, — dużo po-
pracować.

A więc ja wam to wszystko dzielę do wyboru,
Czy lekką rolę, czy tę, gdzie ślady są boru.

Każda z nich ma swą wartość, lecz trudów
potrzeba,

A rządząc się poczciwie, — pomoc dadzą
Nieba.

Skończył Ojciec — swą ręką synów swych
przeżegnał,

I wkrótce się na wieki z tém światem pożegnał.

Śmierć więc Ojca nagliła do pracy się chwycić,

Aby najpierwsze życia potrzeby nasycić ;

Józef z natury ciężki, — do lenistwa skłonny,

Wybrał grunt już gotowy, lecz w pożytku
płonny.

Drugi zaś — w pocie czoła pnie swoje kar-
 czował,
 I choć przy ciężkich znojach, tego nie żało-
 wał.

Smiał się raz Józef z brata, mówiąc: mnie
 nie trzeba,

Tak się jak ty mozolić, by wy dostać chleba.

Lecz Ignacy nie przestał wyteżać swe siły,

I codziennych starań widział owoc miły.

Pracując nad największą karpą dnia pewnego,

Odkrył pod nią naczynie garnka zwyczajnego,

Podnosi z ciekawością — mięsza się, — wpa-
 truje,

I sto talarów z niego z radością wyjmuje.

Gdy ostatni doliczał, gdy już próżnym było,

Na samym spodzie takie pismo się mieściło:

„Tę nagrodę wasz Ojciec temu z synów scho-
 wał,

Którym pracą usilną, tę ziemię krudował.

Nikt chleba przy lenistwie pożywać nie może,

Wytrwanie w trudach tylko, — ściąga łaski

Boże.“

Modniś w okularach.

Choć wzrokiem swoim sięgał doskonale,
 Lecz, by dogodzić i modzie, i chwale ;
 Raz paniczowi nagle przysniło się,
 Osadzić na swém okulary nosie.
 Kupił więc pierwsze lepsze, w sklepie u
 Optyka,
 A choć źle przez nie widział,* dumą się prze-
 nika,
 Wytrzeszcza ciągle oczy z dziwną swoją miną,
 Sądząc, iż go idący, jak pana ominą.
 Wtém, gdy często przechodniów potrącał i
 śmieszył,
 Padł biédak, wtenczas, gdy się jak najwięcej
 spieszył.
 I przejrzał, — lecz ze wstydem na swe wła-
 sne oczy,
 Dobrze tak, niechaj próżność wzroku nam nie
 mroczy.

Furman i dziecię.

Jechał furman przez miasto zbyt ładowną furą;
 A że to było pod górą,
 Więc bił niemiłosiernie nieszczęsne zwierzęta,
 Tak, iż biczem już była skóra ich pocięta.
 Spostrzegł to mały chłopczyk, obok przechodzący,
 I z płaczem się odzywa w sposób błagający:
 „Ach! bądźcie też czulsi nad temi biednymi
 Końmi swojemi!“
 Lecz furman na lzy dziecka wcale się nie
 wzrusza,
 I biciem ich znów sroższém dalej ciągnąć
 zmusza.

Chłopczyzna nieustając na sposób się bierze,
 Miał rubla, co go dostał w imienia ofierze.
 Oddaje więc woźnicy, — prosi i zaklina,
 Litości się dla biednych ciągle dopomina.
 I to nareszcie w sercu dokonał furmana
 Iż miejscu, gdzie gospoda była temuż znana,
 Tam połowę ciężaru z bezpieczeństwem złożył,
 Koniom ulżył, a chłopczyk, jak na nowo ożył.

Przechodził w tymże czasie pan jakiś dostojny,
 Co wszystko to uważał; i dar jego hojny;
 Wzruszony aż do łez swych ujął go w objęcia,
 Nie szczędząc sprawiedliwych pochwał dla
 dziecięcia.

Kontent z téj niespodzianki był dobry chłop-
 czyna,

Ale czyn, któren sobie zawsze przypomina,
 Ten serce jego więcej zadowolnił,
 Iż biędne konie od cierpień uwolnił.

O dziatki! naśladowcie przykłady podobne,
 Litość,— ta tylko jedna uczyni was zdobne.
 Każde stworzenie, dziełem rąk jest Najwyż-
 szego,

Bez-względnie więc być czułym, to czyn cno-
 tliwego.

Mały ubogi skrzypek.

Przy osiwałym dziadku, kalece bez wzroku,
 Siedział mały chłopczyna w ósmém życia roku.

Trzymał małe skrzypczki, ręką dźwięk do-
 bywał,
 A starzec drżącym głosem, pieśń nabożną
 śpiewał.
 Przeszedł niejeden szybko — a choć wspo-
 mógł drugi,
 Jednak potem grał mały naprózno czas długi.
 Wracał z kościoła możny pan z ~~w~~zrzuśzonym
 okiem,
 Co jedynego synka stracił był przed rokiem.
 Wsparł hojnym datkiem starca, wzrok zato-
 pił w dziecię,
 Zapytując się: kto go w takim życia kwiecie
 Zachęcił i wyuczył te tak smętne dźwięki
 Wydobywać i łączyć z jego razem jęki?
 „Biéda,“ mój zacny panie! bo głos cierpień,
 nędzy,
 Już spowszedniał; — a więc téż może przecie
 prędzój
 Te słabe tony skrzypek biédnego dziecięcia
 Pobudzą do litości, i datku ujęcia.
 Łzy szczérego współczucia twarz pana zrosiły,
 Obraz cierpień myśl wzniecił, wzmogły się
 i siły.

Boże! rzekł, coś mnie dotknął tak bolesnym
 ciosem,
 Wesprzyj chęć; Tobie święcę zająć się ich
 losem.

Niech to dziecię zastąpi te, co jest u Ciebie,
 Żal i rozpacz choć w części w niepamięć za-
 grzebie.

Spraw, niech będzie osłoda strapionego wieku,
 Natchnień Świętych opuszczać, wszak nieka-
 żesz człeku.

—Starcze! rzekł, schylek dni swych ty zakoń-
 czysz u mnie,

A dziecię to wykształcę cnotliwie, rozumie.
 Stało się — chłopczyk cudnie gdy z nauk
 korzysta,

W lat sześć już grał jak wielki w swój sztuce
 artysta.

Schował skrzypki dziecinne, patrzył na nie
 tkliwie,

I na struny, co los tak zmieniły szczęśliwie.

Tak to Bóg dobry natchnień często nam
 udziela.

Kto je spełni, ten zawsze dozna tu wesela.

Jubileusz starego sługi.

W zamożnym na wsi domu, w cnoty i dostatki,
Gdzie w usługach dość było rozlicznej czeladki,
Żył między niemi stary i poczciwy sługa,
Co pilnował pańskiego dobytku i pługa.
Piąty krzyżyk już doszedł prae jego zawodu,
A zawsze był tak czynnym jak bywał za młodu.
Ucziwość jego wniczém nigdy niezachwiana,
Względy téż sprawiedliwe pozyskała pana.
Cenił on coraz więcej pilność swego sługi,
W nagrodę więc gorliwych wysług przez czas
długi,
Powziął myśl w dzień rocznicy swego jubilata,
Niespodzianką uświetnić wierne jego lata.
Liczne grono sąsiadów sproszone przybyło,
Lecz nikt się niedomyślał, coby to znaczyło;
Obiad suty zastawion, kwiatami przybrano,
Nareszcie, gdy już wszystkich goszczących
wezвано,
Igdy kaźden zdumieniem był zdjęty niemalym,
Pan domu wchodzi z sługą swoim osiwiąłym

Mówiąc: ty, coś mi święcił wiernie życie całe,
 Coś wszelkie trudy dla mnie uważał za małe;
 Dzień ten, co twojej służby pięćdziesiąt lat
 znaczy,

Niech w tém obchodzie wdzięczność moją ci
 tłumaczy.

Starganém twoim siłom spoczynek stanowią,
 Pragnąc, byś choć przy schyłku oszczędził
 swe zdrowie.

To rzekłszy, obok siebie kazał usiąść słudze,
 Nie szcedząc słów przy uczcie — o jego za-
 słudze.

Powszechny głos współczucia dał się słyszeć
 wszędzie,

Mieniać czyn tak szlachetny w rzadkich zda-
 rzeń rzędzie.

Lecz któż określi starca drżącego wzruszenie,
 Łzy obfite tłumily jego dziękczynienie.

Padł do nóg dobroczyńcy, by czucie wysłowieć,
 I zaledwie te słowa wstanie był wymówić:

Panie! coś me zasługi w swych łaskach objawił
 Oby cię Bóg na wieki za mnie błogosławił.

Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

(Powiastka z przysłowia.)

Niedawnemi bardzo laty,
Mieszkał na wsi pan bogaty.
Miał w dziedziectwie trzy folwarki,
Słyszał z dobrej gospodarki.
Wszystko szło mu szczęście, — gładko,
Z przywiązaną doń czeladką.
Mieszkał w dworcu Modrzewowym,
Starym wprawdzie, — ale zdrowym.
Lecz kościół, gdzie Boga chwalił,
Siłą czasu już się walił;
Więc ślubował nowy stawić,
Za łaskę tyle Boga sławić.
I sposobiąc się gorliwie,
Przywieść do skutku szczęśliwie,
Co tak święcie postanowił,
Ślub w swym sercu nieraz wznowił.
Lecz schodziły dnie i lata,
A domu Bożego strata,
Coraz mniej budziła chęci,
Wzniesić wprzód pałac myśl go nęci.

A więc wszystkie materyały,
Które użyte być miały
Na cel chwalebny i święty,
Przeszły na zbytek przekłety.
Już téż mienia się zmniejszały,
Szał,— rozpusta, ślub rozwiały;
Trwonił ślepo swe pieniądze,
Zwiększając codzien złe żądze.
A dwór stary, ojców gniazdo,
W którym pod szczęśliwą gwiazdą,
Wiódł żywot ciągle swobodny,
Zwalil, stawiając pałac modny.
Tam w przyjaciół niecném gronie,
Zgasił resztę cnót w swym łonie.
Bóg téż wkrótce zesłał ciosy,
Zmienił owe szczęsne losy;
Spuścił miecz nań srogiej kary,
W kłęskach stały pól obszary;
Lud opuścił strzechy swoje,
Gdzie napróżno świecił znoje;
Padł dobytek niegdyś hoży,
Wszystko dotknął palec Boży.
W końcu pałac co tak błyszczał,
Od pożaru całkiem zniszczał.

Spelzło owe świetne mienie,
 Bodło go tylko sumienie
 Pelne wyrzutów, goryczy,
 Co niewdzięcznych czyny liczy.
 A ten, co ślubował stawić
 Dom Boży — cnotą się zbawić,
 Na starość szukał schronienia,
 I w obcej wsi z uproszenia,
 Słusznój kary niebios spadkiem,
 Został tam, — kościelnym dziadkiem.
 Znali go kmiotki tamtéjsze —
 I życie jego dawniejsze;
 Nieraz kiedy drżącym krokiem,
 Przechodził ze smutnym wzrokiem,
 Dzwonić na święte pacierze,
 Chłopki rzekli w czystej wierze:
 — „Kara nad nim cięży Nieba,
 Bo ślubując — spełniać trzeba.
 Stawić kościół Bogu skąpił,
 Bóg go za tém téż odstąpił.
 Tak to bywa w złej rachubie,
 Jak Kuba Bogu — Bóg Kubie.“

Chatka nad rzeką.

Od Lublina niedaleko,
 Stała chatka po nad rzeką.
 A w niej mieszkał wieśniak stary,
 Wierny czciciel świętej wiary.
 Często gdy wezbrały wody,
 Połu jego niosły szkody.
 Lecz cierpliwie ciosy znosił,
 Boga tylko rzewnie prosił,
 By w tej chatce, gdzie się rodził,
 W niej téż z świata tego schodził. —
 Dnia pewnego, pan tej włości,
 Znany ze swojej ludzkości,
 Rzekł do kmiotka: dobry człecze!
 Bięda cię tu srodze siecze,
 Więc ci daję nową chatkę,
 Sprowadź tam i swą czeladkę;
 Gdzie mieszkając od szkód wolny,
 Mić téż będziesz i grunt rolny.
 Ścisnął wieśniak pańskie nogi,
 I rzekł: o mój panie drogi!

Znam twe serce dobroczynne,
 Lecz to miejsce jest rodzinne;
 Ja je szczerze więcéj cenię,
 Nad największe w świecie mienie.
 Zostaw mnie tu zacny panie,
 Póki zycia mego stanie.
 Wola Boża dojdzie wszędzie,
 Tu i cierpieć lżéj mi będzie.
 Zdumiał się dziedzie — i lza błysnęła,
 Co ze szlachetnych ocz mu spłynęła.
 Dłonią przycisnął bijące łono,
 I za rodzinną westchnął téż stroną.

Dzień imienin Paulinki.

(Rozmówka.)

Matka.

Powiedz mi Paulinko mała,
 Co byś na wiązanie chciała:
 Czy laleczkę od swéj Matki,
 Czyli wonne, piękne kwiatki?

Czy sukienkę z wstążeczkami,

Lub też pudelko z cukrami.

Paulinka.

Dzięki ci, Mateczko droga!

Ja w te cacka nie uboga;

One chwilkę tylko bawią,

Ciąglej radości nie sprawią.

Matka.

To mnie dziwi, moje dziecię,

Cóżby jednak było przecie,

Coby mogło cię ubawić,

I z ofiarą radość sprawić?

Paulinka.

Gdy z twój łaski już Mamó czytam dosyć do-
brze,

Więc jeżeli mnie obdarzyć pragniesz dzisiaj
szczodrze,

To nad wszystko, co dobroć twoja dziś wy-
licza,

Pragnęłabym otrzymać pisma Jachowicza.

Ten zacny mąż téż innéj z prac chlubny nie
szuka,
Jak, gdy w dziatkach się jego rozkrzewia
nauka.

Dla nich on tylko żyje— dla nich święci siły,
Oby mu za to wdzięczne i posłuszne były.

Paulinka.

O droga Mamo! jakżem szczęśliwa!
To będzie dla mnie radość prawdziwa.
O kiedyż — kiedyż spełnisz me chęci?
Patrz.— już ze szczęścia łezka się kręci.

Matka.

Jak najspiesznej wypełnię chlubne twe żada-
nie,
Wszak córeczka tak dobra, zasługuje na nie.
Dziś dzieła opiekuna dziątek będziesz miała,
A ręczę, więcej jeszcze będziesz go kochała.

Ten każdy maś też innej x prze chludy nie
 szuka
 Jak, gdy w działkach się jego rozkrzewia
 szuka
 Dla nich on tylko żyje — dla nich kwieci się
 Oby mu za to wdzięczne i posłuszne były

Pamięć

O droga Mamot jaksem zapomniał
 To będzie dla mnie radość prawdziwa
 O kiesz — kiedyś spójniaz me cześć?
 Patrz — już za zapomniał leka się kiesz

Mama

Jak najspieszniej wypelnie chłone two sąda
 nie
 Wszak córka tak dobra, zaslanie na nie
 Dzia dzieła opiekuna dajtek będzie miała
 A tece, więcej jeszcze będzie go kochala

CZEŚĆ TRZECIA.

OBRAZKI.

ONEŚC TRĘGIA

Najtrwalszy to obrazek, co cnoty przedstawia,
W sercu się przechowuje, — a czynem odnawia.

Pielgrzym pomiędzy dziećmi na wsi.

Bez rodziny i krewnych, sam jeden na świecie,

Omdlała ciąglą drogą, wśród skwarnych dni
w lecie;

Nadszedł raz pielgrzym stary w swym skromnym odzieniu,

Uprosić w możliwym domu spoczynku wśród
cieniu.

Dziatki téż z serca chętne wskazały w ogrodzie

Lipę, cieniste drzewo, do spoczynku w chłodzie.

Chciejcie tutaj wypocząć, rzekną wszystkie
mile,

A my wam i posiłek dostarczęm za chwilę.

I co czule wyrzekły, z radością spełniły,

Tak, iż trudy pielgrzyma wkrótce pokrzepiły.

Rozrzewniony przyjęciem kornes składał dzięki,

Za dary, które szczerze otrzymał z ich ręki.

O dziatki miłe ! rzece, szlachetne i tkliwe,
 Jakże będziecie kiedyś w swém życiu szczę-
 śliwie.

Skoro dziś już swe serca tak zaprawne macie,
 Iż czyn ludzkości z taką roskoszą spełniacie.
 Wiercie doświadczonemu; — dobrze świat
 poznałem,

Wiele przykładów między ludźmi téż widzia-
 łem,

Jednak prędzej czy później zawsze się ziściło,
 Iż serce tkliwe, łaski Stwórcy sprowadziło.

Czas mnie już was opuścić, najmilsze dzieciны!
 Jakże mi błogo zeszły z wami te godziny.

Żegnając was szczeremi wdzięczności méj
 łzami,

Błogosławieństwo niebios zostawiam nad wa-
 mi,

I te świętych obrazki, — skarb cały pielgrzyma.
 Niech choć w pamiętce każde po jednym
 otrzyma.

Czycicie je — niechaj one budzą w was wspo-
 mnienia

Chwały wiecznej, co była celem ich pra-
 gnienia.

Życie nasze jest ciągłą pielgrzymką na ziemi,
A cnoty tylko z Bogiem złączają nas i z niemi.

Spotkanie.

Jechał krociowy bogacz z sercem zasmuconem,

Iż został w swych nadziejach srodze zawiedzionym.

Miał wiele,— pragnął więcej — łakomstwo go bodło,

Dla tego téż mu w niczém odtąd się nie wiodło.

Spotkał raz w lesie kmiotka, co ciął suche

I radosne, a swojskie nucił sobie śpiewy.

Na cóż to rzecz bogacz, zbierasz te gałązki?

— „Mój panie!“ odrzekł chłopek, — ja zwiąże je w wiązki,

Zaniosę do méj chaty, aby żonka miła,

Dla mnie i trojga dziątek wieczерzę zrobiła.

Więc kupujcie!
Nieżartujcie;
Wszystkie sprzedam,
Wybrać nie dam.
Po trzy grosze,
Dajcie,— proszę;
Wszak nie drogo,
Bawić mogą.
U mnie głodne,
Niewygodne
Mają życie
Jak widzicie.
Dziatki zaraz,
Wszystkie na raz,
W sercu tkliwe
I szczęśliwe,
Pieniądz dały,
I zabrały
Te ptaszątka
Nieborzątka;
Mówiąc zgodnie:
Niech swobodnie
W szczęśnej dobie
Fruną sobie;

Szczęś wam Boże
Ptaszki hoże!
I spełniły
Co mówiły.
Ach! już nikną!
Dziatki krzykną!
Jakże spieszą,
Jak się cieszą;
A lzy rzewne,
Szczęścia pewne,
Co błyszczały
Lica złały.

Łzy to chlubne dziątek były,
Oby wszystkie tak czyniły.
Kto los ptaszkom biédnym słodzi,
Bóg i to hojnie nagrodzi.
Bo przed tronem Jego świeci
Pierwsza litość, — moje dzieci.

Panicz oraczem.

Dla odmiany swych zabaw, kilku raz młodzi-
ków,

Prawdziwych na swe własne nieszczęście
wietrzników,

Wyjechało z stolicy do wiejskiej zagrody,

Używać bez-owocnej jak dotąd swobody.

Między lasem a polem, na przyjemnej niwie,

Odpoczywając, jakby po trudach szczęśliwie,

Jeden z nich junak wielki, lecz w uczynkach
mały,

Ujrzawszy kmiotka w polu, co w znojach wy-
trwały,

Obléwał swoim potem życie-dajną ziemię,

Znosząc cierpliwie trudów ciężkich swoich
brzemień.

Pełen zarozumienia do innych zawołał:

„Koledzy! pójdźcie patrzeć, jak ja będę orał!

Gdy stanęli na miejscu, chłopiek ów zdzi-
wiony

Tak niewłaściwą chęcią, rzece ośmielony:

Oj ciężka to jest praca, mój wielmożny panie!
 Udźwignąć nawet pluga niebędziecie wstanie;
 Pleciesz! wykrzyknie młodzik; — cóżeś ty
 mędrszego?

Nie pożyczę od ciebie rozumu twojego.
 Więc chwycił plug, lecz woły ruszyć się nie
 chciały,
 Wołania jego — krzyku, nie rozumiały;
 Wszelka nawet usilność nadaremna była,
 Twarz wstydem zapłonęła, złość srodze ją
 trzymała.
 Widząc śmiech innych, co go skarcił należy-
 cie,
 Oddalił się zlorzecząc, sam sobie już skrycie.
 Nadszedł wkrótce ekonom, — a rolnik mu
 szczerze

Opowiedział zdarzenie całe w dobrej wierze.
 I gdy go ten cierpliwie wysłuchał jak było,
 Rzekł, nietając wzruszenia, co serce jątrzy-
 ło:
 Tak to — gdy wieśniak targa siły swoje
 w pracy,
 To chleb chcą mieć bez trudów niejedni próz-
 niacy!

Lecz chłopiek westchnął tylko, mówiąc: Stwó-
co, Panie!

Każden téż jak tu żyje, tak przed Tobą
stanie.

I orał dalej, nucąc swe rodzinne pienia,
Szczęśliwy z swego stanu — szczęśliwy z su-
mienia.

Babka przy drodze.

Kwiateczki — kwiatki!

Kupujcie dziatki!

Boć mnie żyć trzeba,

A nié mam chleba.

Bóg tym nagrodzi,

Kto tu osłodzi,

Biednej niedole

Na tym padole.

Wtém się zebrały,

I targowały

Piękne kwiateczki,

Różne dziateczki.

Lecz między temi,
 Niedosć czulemi,
 Jedno przybyło
 Co tkliwsze było;
 Kwiatków nie bierze,
 Ale w ofierze
 Dwa złote miało,
 I te jój dało.
 Przykład ten pomógł,
 Każden ją wspomógł;
 A babka kwiatki,
 Szczęścia zadatki,
 Które trzymała,
 Łzami oblała.

**Pielgrzymka gromadki wiejskiej
 do Częstochowy.**

Do cudownego miejsca, naszój Częstochowy,
 Gdzie jest dla wszystkich wiernych wstęp za-
 wsze gotowy,

Tam, gdzie tyle pamiątek serc naszych jaśnieje,
 Gdzie król, bogacz i żebrak składał swe na-
 dzieje;

Do źródła niezliczonych łask, co dotąd płyną,
 I tych cudów odwiecznych, które w Wierze
 słyną;

Z pobożnych kmiotków naszych, gromadka
 zebrana,
 Ubogo, ale czysto, w sukmanki przybrana,
 Wyszła z pokorą ducha, nie strudzona niczym,
 Paść przed Matki Chrystusa, cudownem obli-
 czem.

Nie powiozły ich tamże żadne wartkie koła,
 Choć przy starganych siłach, w krwawym
 pocie czoła,

Poszli pieszo, o skromnym chlebie i o wodzie,
 Ale z czystym sumieniem, z którym żyją
 w zgodzie.

Nie mieli z sobą ofiar ze srebra lub złota,
 Oni z innym bogactwem szli otwierać wrota,
 Nieśli w sercach nadzieję, miłość, pełną wiarę,
 I z łez najczystszej skruchy, miłą Niebu czarę.
 Tak idąc, pienia Święte pobożnie wznosili,
 I o dojsście szczęśliwe, gorąco prosili.

Wejrzał téż na nich Stwórca, do ich prośb się
skłonił,

I kościół ów na Jasnej-Górze im odsłonił.

Jakby dotknięci mocą niewidzialną Boga,

Każdego z nich nadludzka ogarnęła trwoga;

Padli kornie na ziemię, wzroku wznieść nie
śmieli,

Lecz jako prochy grzeszne, przed świętością
drżeli.

A bijąc się w swe piersi, aby skrzepić ducha,

Wzniesli pieśń rzewną z wiara, iż ich Bóg
wysłucha:

Witaj skarbnico! łaskami słynąca;

Do ciebie dąży myśl nasza gorąca;

Tam my pragniemy Maryi w ofierze

Złożyć hold szczerze.

Miej litość Boże, nad prośby naszymi,

Gdy się Twa Matka wstawi za biédnemi.

Niechaj do tronu Twojego doleci,

Głos wiernych dzieci.

A Ty Królowo! co tam przemieszkiwasz,
 Co Swą dobrocią tve dzieci przyzywasz,
 Spojrzyj,— jak dąży pod Tve święte progi,
 Kmiotek ubogi.

Ty nim nie wzgardzisz — bo i on Tve dziecię,
 Co ciężkie znoje cierpi na tym świecie;
 Lecz, gdy Ty Matko dźwigniesz go litośnie,
 On łaską wzrośnie.

Podniosła się gromadka, gdy pieśń swą skończyła,
 I z sercem pokrzepioném już w kościele była.
 Tam wszyscy niebios ducha łaską owładnięci,
 Uczuli radość, co się w czystych sercach święci.
 Wysłowić ich pokorę, i wiarę do koła,
 To już potrzeba wiodzić opis niepodola;
 O! kto téż z naszych kmiotków pobożności
 wzoru,
 Nieprostował swych uczuć do ich wiary toru,
 Kto z ich skruchy nie wzmocnił jeszcze du-
 cha swego,
 Ten w uczynkach i sercu niéma nie Świętego.

Anioł ziemski.

Nędzą styrane,
 I zapłakane,
 Szło drżące ulicą dziecię;
 Próżno dłoń wznosi,
 O wsparcie prosi
 Rzadkie współzucie na świecie.

O Matko moja!
 Sierota twoja,
 Co cię straciła przed wczora;
 Pewnie w cierpieniu,
 I zapomnieniu,
 Już niedoczeką wieczora.

Tak sama jedna
 Ukłękła biędna,
 Przed podwojami kościoła;
 Całuje progi,
 O Boże drogi!
 Wspomóż mnie! — rzewnie zawoła.

Wtém już nad zmrokiem,
 Z anielskim wzrokiem,
 Zjeżdża do ślubu dziewica;
 I ten, litośny
 Na jęk żałośny
 Zwraca,— Iżą rosząc swe lica.

O biedne dziecię!
 W twém życia kwiecie,
 Zostałoś sierotą pewnie;
 Podaj mi rękę,
 Skrócę twą mękę;
 Przemówi głosem swym rzewnie.

Dziś ślub mój zdwoje,
 I życie twoje,
 Przysięgnę wiernie osładzać;
 W cnotach cię chować
 I pielęgnować,
 Nędzę z pamięci wygładzać.

Święcie spełniła,
 Co wymówiła

Ziemięskiego anioła dusza;
 A czyn tak święty,
 Z niebios natchnięty,
 Obecnych do łez porusza.

O wielki Boże!

I któż z nas może
 Godnie Twą dobroć wychwalić?
 Oko Twe czuwa,
 Z cierpień wyzuwa
 Tego, co pragniesz ocalić.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

W dni świąteczne do domu zjechał panicz
 młody,
 I już kilka tygodni używał swobody;
 Powracając wieczorem z pola utrudzony,
 Zszedł się ze starym sługą, co wracał do
 żony;

Ten, panicza pozdrowić bynajmniej niestronił,
Zdjął czapkę przed młodzieńcem, do kolan
się skłonił,

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, —
rече;

Panicz oziębło odrzekł:— jak się macie człeczce!

Dziwne téż to te wasze więjskie pozdrowienia,

W mieście tego nie słyszém — dodał téż

z niechcenia:

U nas mówią: dzień dobry, albo witam pana!

A wasze powitanie,— rzecz u nas nieznaną.

O mój drogi paniczu! — sługa mu odpowie,

A wszak to tak mawiali i pańscy przodkowie;

Oj — dobrze im się działo; żyli długie lata,

I zchodzili z sumieniem czystém z tego świata.

Bo kto z Bogiem poczyna, i myśli i sprawy,

Ten w sercu swém uczuje, co jest spokój

prawy.

To wyrzekłszy raz jeszcze panicza pozdro-

wił,

I odchodząc — niech będzie pochwalony

wznowił.

Gawędka przy kominku na wsi.

Na kominku drewka płoną,
A gospodarz z wierną żoną,
Zasiedli po dziennym znoju,
Użyć miłego spokoju.
Przy nich w koło hoże dziatki,
Wznoszą główki, jakby kwiatki,
Co na wiosnę ze snu wstają,
I Dawcę życia witają.
Ojciec prawi dawne dzieje,
Różne życia swe koleje ;
Co wycierpiał — i co użył
Gdy żołnierzem kiedyś służył.
Nieraz rzecze: los mnie gnębił,
Ale ducha nieoziębił.
Zniosłem wszystko jak przystało,
I cierpliwie — i wytrwało.
Dziś spoczynek na jest miły,
A wspomnienie krzepi siły.
Bom się zawsze z Bogiem łączył,
Łzy bliźniemu nie wysączył.

O tak drogie moje dzieci!
Temu radość zawsze świeci;
Kto na drodze przeznaczenia,
Nie splamił niczém sumienia;
Woli Boga żył poddany,
Wytrwał w enocie niezachwiany.
Gdy tak lubym dziatkom głosił,
Umysł i serce ich wznosił,
A wtém dał się słyszeć dzwonek,
By zakończyć z Bogiem dzionek;
Wzywał na wspólne pacierze,
Złożyć Stwórcy dzięki szczerze.
Weszła téż czeladka pana,
Padli wszyscy na kolana,
I ponieśli modły tkliwe
O życie w enotach szczęśliwe;
I za zmarłych dusz wspominek,
Wieczny dla nich odpoczynek.

Okrężne.*Soltys.*

Witaj Panie! witaj Pani!
 My przychylni wam poddani,
 Po skończonej w polu pracy,
 Przychodziem dziewczki, chłopacy,
 Z radością drużyna hoża
 Złożyć wieńce z tego zboża.
 Przyjmcie więc te Stwórcy dary,
 Które zlewa nam bez miary,
 Niech opieka Jego święta,
 Zawsze o was tak pamięta.

Dziewuchy.

Żeliśmy ci rażno, składnie,
 Już na polu czysto, ładnie.
 Kłoski bujne poszły w snopy,
 Będzie dużo ziarenek z kopy.
 Oby co rok się zmnażało,
 Z waszém dobrem Boską chwałą.

Parobczaki.

I my także się zwijali,
 Każden z nas się tém pochwali;
 Do stodoły zwieźli snopki,
 Wszystko twoje Panie chłopki.
 A choć pot nam spływał z czoła,
 Jednak wspólnie do okoła,
 Nieśliśmy ci szczere chęci,
 Dobrém tylko twém przejęci.

Dzieci.

My, choć garstki zboża z ziemi,
 Zbieraliśmy za starszemi,
 Lecz jak większe urośniemy,
 To wam więcej poświęciemy.

Pan.

O jakże czule dzięki Bogu składam,
 Iż wasze serca życzliwe posiadam.
 Wszystko to jednak Opatrzności władza,
 Mocą cudowną dla stworzeń sprowadza.

Gdy jedno słońce wszystkich nas ogrzewa,
 I wspólna ziemia żywi i odziewa.
 Więc razem zgodne nieśmy Stwórcy dzięki,
 Za dary, co nam spuszcza z Swojej ręki.
 Głos takich uczuć do Niego doleci,
 O bądźcie pewne, miłe moje dzieci.
 A za tak wierne wasze dla mnie znoje,
 Te lzy wdzięczności — odbierzcie dziś moje.

Wszyscy wieśniacy razem.

A więc dalej teraz w tany,
 Niechaj żyje Pan kochany,
 I wraz pani — nasza matka,
 Długo — szczęśnie — do ostatka.
 Niech im słońko zawsze świeci,
 Boć kochają nas jak dzieci.

Druciarz i chłopczyk z piaskiem.

Szedł chłopiec z piaskiem rano, i spotkał dru-
 ciarza,
 Co to — garnki drutować, — rozgłośnie po-
 wtarza.
 Zaszedł mu pierwszy drogę, i pyta zmęczony,
 Będąc głodem od rana srodze udręczony.
 I coś téż dziś zarobił? wiedziéć mam ochotę;
 Druciarz przerwie: — ot widzisz, mam już te
 trzy złote;
 I gdybyś użyteczniej chciał przecie pracować,
 Tobym cię z chęcią garnki wyuczył drutować;
 Bo dźwigając ten piasek zerwiesz siły z młodu,
 I niezdatny do innéj pracy, zginiesz z głodu.
 Zarobek twój jest mały, wiem to bardzo do-
 brze,
 Rzadko kto téż cię kiedy opatrzy nim szczo-
 drze;
 To mówiąc, dobył z torby kęs chleba nie-
 mały,
 Dał malcowi, co ze łzą patrzył oniemiały.

I usłuchał druciarza, z chęcią z nim pracował,
 Błogosławiąc go za to — wdzięczność w sercu chował.

A gdy tak coraz więcej życie czynne cenił,
 Później w lepszym rzemiośle szczęśliwym się mienił.
 Ten obrazek dziecieczki, co się wam przedstawia,
 Niech się w pamięci waszej dość często odnawia.
 Bo, gdy chłopczyzna biędny, od nauk daleki,
 Nieodrzuć zyczliwej rady i opieki;
 Tak was témbardziej, co tu dostatek otacza,
 Korzyść z nauk słuchanych niech zawsze odnawia.

Panicz i ubogi chłopczyzna.

Nióś kilka funtów chleba i dosyć czarnego,
 Mały, biędny chłopczyzna, dla Ojca chorego.

Łzy rzewne w oczach lśniły, głód go bowiem
 nędził,

Jednak nie dotknął chleba, bo dla Ojca szcze-
 dził.

Spotkał go panicz możny; szlachetnie cieka-
 wy,

Co nieszukał z uczynków miłosiernych sławy;
 Bada i leż przyczyny, i komu chléb skromny
 Niósł — na własny, co cierpiał głód pewnie
 niepomny.

Chłopczyzna wszystko wyznał, a panicz wzru-
 szony,

Wszedł z nim, gdzie Ojciec leżał chorobą zło-
 żony;

Opatrzył chojnym darem słabego nędzarza,
 Wielbiąc czyn dziecka, którém Niebo go ob-
 darza.

Wyrzucił w oczach łezki, głód go łowien
 podził
 Jednak niechciał chleba, bo dla Ojca szedł
 dxił
 Spółka go panieć moxy, szlachetnie ciska-
 Go nie szukał i uczyńków miłosiernych sław;
 Bada i ten przemyśl, i komin chleb skromny
 Nieś — na własny, co ciepiał głód pewnie
 Chłopczyra wszystko wyznał, a panieć wzn-
 Waxodi x nini, gdzie Ojciec leżał choroba x
 Opatrzył chojnym darem słabego nędzarxa
 Wielkie exm dziecka, krodm Niebo go ob-
 dawa.

Przebieg choroby i zgon

W tym miejscu opisano przebieg choroby i zgon...

CZEŚĆ CZWARTA.

WIERSZYKI MORALNE.

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi,
Tegoć nie wydrze nieprzyjaciół srogi;
Nie spali ogień, nie zabierze woda,
Nad wszystkim inszym panuje przygoda.

Jan Kochanowski.

O modlitwie.

Wiara — nadzieja — miłość — to modlitwy
godła;

W nich są niewyczerpane dla serc naszych
źródła,

Z niemi myśl nasza korna powinna się wzno-
sić,

Jeżli pragniemy łaski u Stwórcy wyprosić.

Są to trzy gwiazdy, których najczystsze pro-
mienie

Wskazują nam śmiertelnym, Nieba przezna-
czenie.

Wiarą wzmacniać należy uczucia ku Bogu,

Ta, szczęśliwie nas stawi, na wieczności progu.

Nadzieja, niech nam troski życia tego słodzi,

Ten, co jest Twórcą cnoty, cnoty téż na-
grodzi.

Miłość Boga nad wszystko, a bliźnich jak sie-
bie,

To cnót wszystkich korona — blask jój skłni
się w Niebie.

Temi przy modłach zdobni wznóśmy swego
 ducha,
 A Ojciec świata chętnie prośb dziątek wy-
 słucha.

Dwie dróżki życia.

Na tém Bożym wielkim świecie,
 Jeżeli żyć szczęśliwie chcecie;
 Strzeżcie pilnie drózek życia
 Wcześni bacząc ich użycia.
 Bo ich dwie są, moje dzieci;
 Każda z nich oddzielnie świeci;
 Jedna pozor blasku lubi,
 Zradnie wiedzie, łatwo gubi;
 Do złych czynów kroki ściąga,
 I z niesławą życie sprząga.
 Tój unikać dziatki trzeba,
 Bóg to widzi wszystko z Nieba,
 Jest On z nami — a jest wszędzie,
 Tym, błogosławić nie będzie.

Druga skromnie tu przyświeca,
 W sercach cnoty nam roznieca;
 Uczy pełnić prawa święte
 Dla wszystkich ludzi pojęte.
 Jest-to pewna, czysta droga,
 Co nas wiedzie przed tron Boga.
 Kto jój bacznie tu pilnuje,
 Spokój w duszy téż znajduje.
 A choć na niój są i ciernie,
 Dążcie jednak po niój wiernie;
 Niech was trudy nie z niechęcą,
 One skutek błogi święcą.
 Gdzie jój koniec, tam zbawienie;
 Wieczne u Boga wytchnienie.

Szacunek czasu.

O czas leci
 Moje dzieci;
 Niecofniony
 Policzony;

Więc pracować,
Cnoty chować
W duszy trzeba,
Skarbić Nieba.
Tych im więcej
I goręcej
Tu zbierzemy
Cóż znajdziemy?
Szczęście trwałe;
Z Bogiem chwałę.
Bo pieniądze,
Dumne żądze,
Żadne zbiory
I honory,
Nie pomogą,
Dojść nam drogą,
Gdzie cnotliwi
Są szczęśliwi.
Jedna cnota,
Ta to wrota,
Nam otworzy
Gdzie tron Boży.
Więc pojęta,
Prawda święta,

Niechaj będzie
 Od was wszędzie,
 Życia chwile,
 Co tak mile
 Teraz schodzą,
 Niech myśl plodzą
 W prawe czyny;
 Bo godziny
 Tój nie wiemy,
 Gdy pomrzemy.
 A więc trzeba
 Skarbić Nieba,
 Bo czas zleci
 Moje dzieci.

C n o t a.

Martwa z imienia,
 Gdy nie z pełnienia
 Człek się nią wznosi,
 I blask jój nosi.

W sercu ją chować,
 Czynem miłować
 Najświętsze prawa
 To jój ustawa.

Ona godnością,
 Pierwszą mądrością;
 Wszystkim przystępna,
 A nie przeczerpna;

Posiąść ją można,
 Byle myśl zdrożna
 Zniszczyć niechciała,
 Co ta wskazała.

Skarby — honory,
 Świetne pozory,
 Co skłnią wśród świata,
 Z sobą nie brata.

W cierpień kolei,
 Promień nadziei,

Z niebios nam zlewa,
Ducha zagrzewa.

Schyłek dni słodzi,
Stalość nagrodzi;
Uwieńczy — zbawi,
Niebo zostawi.

Modlitwa dziecięcia za Rodziców.

O dobry Boże! mała dziecina,
Twojój się łasce tu przypomina.
Rączki już składam — Ojciec nasz umiem,
Żeś Ty najlepszy — dobrze rozumiem.
A kiedy Ojcem zwać się nam dałeś,
Wysłuchasz; bo też nadzieję wlałeś.
Więc, co mi dali życie na świecie,
Za temi najpiérw błaga Twe dziecię.
Zeszlij, co uznasz dla nich dobrego,
Chroń Swą opieką dni ich od złego.

Bo mi to Ojciec i Matka rzekli :
 Że ci, co się do Ciebie uciekli,
 Skoro z ufnością będą Cię prosić,
 Tym łza nie będzie oczu ich rosić.
 I ten głos serca, co ku Tobie wzleci,
 Ty go wysłuchasz — bo to głos Twych dzieci.
 A więc racz wéjrzć na Twe dziecię z Nieba,
 I dawcom życia zeszlij, co potrzeba.
 A ja Ci dzięki codziën korne złożę
 O mój Ty dobry i litośny Boże !

Najwyższa Opatrzność.

Bóg opatrzny, moje dzieci,
 Dobroć Jego wszędzie świeci.
 O, Ten Ojciec nieba, ziemi,
 Czuwa wciąż nad dziećmi swemi.
 Od robaczka do człowieka,
 Szerzy się Jego opieka.
 Wszystkiemu starczy, zabiega,
 Chroni, od złego przestrzega.

Ziarnko cudem Jego wschodzi,
Ziemia chlebem trudy słodzi;
Wszystkie żywioly co stworzył,
Do użytku nam tu złożył;
A opatrne Boże oko,
Choć nad nami jest wysoko,
I najskrytszą chęć ma w pieczy,
Dzieli — wspiera — trudy leczy;
Dniem i nocą nas osłania,
A do wdzięczności nakłania.
Lecz dał wolę — dał pojęcie,
Używać wszystkiego święcie;
Łask doznanych nie nadużyć,
Zawsze godnie się zasłużyć.
A za wszystkie hojne dary,
Które zsyła nam bez miary,
Żąda tylko téj nagrody:
Miłości i bratniej zgody.
Więc ją święćcie z całej siły,
Bo ten dar Mu tylko miły;
Ta do Nieba tylko droga;
Nadewszystko kochać Boga,
Blizniego, jak samych siebie,
Ratując w każdój potrzebie.

Z tym uczuciem życie wszędzie,
 A Opatrzność czuwać będzie.
 Bo tutaj szczęścia tylko są zadatki.
 W Niebie nagroda za cnoty jest dziatki.

R o d z i c e .

Jak drogim dla serc waszych widok Ojca,
 Matki,
 Ufam, iż to czujecie dobrze, miłe dziatki.
 Pomnażać to uczucie niech każde pamięta,
 Bo tego po was żąda Bóg, i wdzięczność
 święta.
 W waszych sercach tę iskrę roznieciły nieba,
 Więc też ją strzedz do skonu, jak najwierniej
 trzeba.
 Oni się w szczęściu waszém odradzają szczerze,
 W nim żyjąc, każde pilnie od cierpień was
 strzeże.
 Ich roskoszą najwyższą wasz uśmiech, swoboda,
 A wzrost w cnotach, jedyna za trudy nagroda.

Przechowujcie więc w sercach bacznie ich
przestrogi,

Jako dowód miłości — upominek drogi.

Wspierajcie ich strudzone wiekiem wątłe siły,

Słodząc chwile, by troski lżejsze dla nich były.

Agdy godnie staraniom ich się wywdzięczycie,

Oni was błogosławiąc — błogo skończą życie.

O p r a c y.

do dzieciak.

Praca — praca — lubę dziatki!

Trudy płaci nam sownice ;

Z niej to kwitną szczęścia kwiatki,

Nieśmiertelne, jak to życie.

Lecz cierpliwość przybrać trzeba,

I o pomoc błagać nieba ;

Bo się bez niej nie zrodzi,

A z nią człowiek wszystko zgotdzi.

Stwórca tylko wtenczas wspiera,
Źródła łask Swych nam otwiera,
Jeżeli w każdym naszym czynie,
Prawość uczuć téż zasłynie.

Czerpcie skarby z nauk pilnie,
Przyjmując rady przychylnie.
A co młodość wam zgromadzi,
Czas późniejszy nie wygładzi.

One są godnością w człeku,
I osłodą strapiień wieku.
Serca chlubnie wam wzbogacą,
A owoce trudy splacą.

Więc pracujcie w świętym pocie,
Zdobiąc umysł — żyjąc w cnocie;
A Bóg dobry spojrzy mile,
I uwieńczy trudów chwile.

Opieka Boska.

Nie sądźcie dziatki, by Stwórcy opieka,
 Dosięgać miała jedynie człowieka;
 Patrzcie na ptaszki — na robaczki małe,
 I z nich oddajcie Bogu cześć i chwałę.
 Bo one żyjąc darem tu cudownym,
 Są téj opieki obrazem wymownym.

Życie ludzkie.

Wiosna, jest życia naszego wątkiem,
 Lato, nadziei zwykle początkiem;
 Jesień, za prace owocem darzy,
 Wtém zima przyjdzie i wszystko zwarzy.

R o l n i k.

Kiedy orze chłopek pole,
 Gdy widzimy jak tę rolę
 Niszcząc siły w pocie sprawia,
 Niech się wdzięczność w nas pojawia.

Czego on się rad spodziewa,
 Co w nadziei go zagrzewa;
 To najchojniej nam oddaje,
 Jemu ledwie kęs zostaje.

Nasze trudy ulga cieszy,
 I dostatek w pomoc spieszy;
 On z młodości cierpi znoje,
 Święcąc dla nas zdrowie swoje.

Choć ubóstwo w ich odzieży,
 Choć im szczęście skąpo bieży;

Cześć braterską nieść im trzeba,
Nie żałować serca, chleba.

Do Skowronka.

O swobodna ptaszyno! zwiastunie wiosenny!
W tkliwych swoich piosenkach zawsze nie-
odmienny;
Obudzasz w nas szczęśliwój przyszłości na-
dzieje,
Wskazując lotem swoim, gdzie wieczność
jaśnieje.

Odrywasz się od ziemi, pod obłoki wlatasz,
O ziarnka twego Stwórcę pieniem wdzięcznym
błagasz.
— O ludzie! śladem ptaszka o dar Boga pro-
śmy,
Nie wiążmy serc do ziemi — lecz te w Niebo
wznośmy.

Piosnka rolnika do Boga.

W Imie Twoje, wielki Boże!
Chwytam ten mój plug,
Łaska Twoja niech mnie wzmoże,
Spełniać święty dług.

Dozwól w pracy wielbić Ciebie,
Ile starczy sił;
Przyjm westchnienie téż ku Niebie,
Bym tam z Tobą żył.

Tys mym Stwórcą — Ojcem — Panem,
Wzrok Swój łaski zléj,
Nie pogardzasz moim stanem,
Więc w opiece miej.

Ty na trudy i pot z czoła,
Zsyłasz łask Swych zdroj,

Wszystko wzmagasz do okola,
O Ty Ojczyzna mój!

Ledwie oczy wzniosłem moje,
Abyś pomoc dał,
Aż tu już są lżejsze znoje,
Boś mi wsparcie złał.

O mój Stwórco! pełen chwały,
Cóż Ci za to dam;
Tylko jeden skarb mój cały,
Łzę wdzięczności mam.

Więc ją przyjmij królu świata!
Przed Twój święty tron;
A gdy w trudach zgasną lata,
Pobłogosław skon.

S t r u m y k.

Cicho płynie i nie huczy,
On nas niechaj w życiu uczy;
Dobre czyny skromnie szerzyć,
W pomoc wszystkim chętnie bieżyć.
Już ta cnota nie jest cnotą,
Co chce dumnie śklić jak złoto;
Ona cicho niech łzy ściera,
Skrycie nędzy dłoń otwiera;
Tak jak strumyk niechaj żyje
Co swą wartość w cieniu kryje,
Tu dla głośnych, próżnych czynów,
Świat nastęcza dość wawrzynów;
Prawa cnota gardzi niemi,
Zna, iż szczęście nie na ziemi;
Dla niej Bóg ma wieńce w Niebie,
Dla niej da nagrodę z Siebie.

K r o p l a.

Sądziecie dziatki, iż to rzecz nie wielka,
 Mała z pozoru niewinna kropelka;
 O, znaczy ona wiele, kiedy zwilża ziemię,
 Cieszy rolnika, lżejszem czyniąc trudów brze-
 mię;

Ożywia życiodajny plon, kłoska małego,
 Co ma się stać zasiłkiem stworzenia Boskiego.
 Ona również do cudów dzieł Stwórcy należy,
 A skutki dobroczynne, chociaż ciche szerzy.

I łza ludzka się także w kropelce przedstawia,
 A jednak często pomoc i ulgę nam sprawia;
 Bo wtenczas, gdy ją boleść ze serca wyradza,
 Zebrzącym łaski Boga, pociechę sprowadza.
 Z kropelką łez, gdy dziecię swoje modły
 wznosi,

Gdy o cnoty, o zdrowie, i o rozum prosi;
 Bóg i Ojciec powszechny chętnie się nakłania,
 I źródło nieprz^ebranych łask Swoich odsłania.

Do zdrowia.

O któż z nas powie
Że miłe zdrowie,
Nie jest dar wielki,
Gdy go człek wszelki
Pragnie, przyzywa,
Skarbem nazywa?
Losów dziwactwa,
Jeżeli bogactwa
Szczodrze nam zleją
Z uciech koleją;
Gorzkie to mienia,
Jeżeli cierpienia
Choroba wzmoże,
I wpędzi w łożę.
O, to téż chronić,
Usilnie bronić,
Zdrowie potrzeba,
Gdy dają nieba.
Bo gdy zniszczemy,
Kres przyspieszemy;

I żadnym potem
 Choćby i złotem,
 Już nie zdołamy
 Zbratać go z nami.
 Więc Stwórco, Panie!
 Przyjm me wołanie,
 Które na świecie
 Wznosi Twe dziecię:
 Nie o czeze blaski
 Błagam Twój łaski,
 O droższe mienie,
 Czyste sumienie;
 I w miejsce chwały,
 Zdrowia, wiek trwały.

W i o s n a.

Zabłyła wiosna
 Dla nas radosna;
 Dłoń pracowita,
 Chętnie ją wita.

Ona nam błogą,
Nadzieję drogą,
Do serca wlewa,
Ducha zagrzewa.
Rolnicze pienia,
Ptasząt nucenia,
Zwierząt ryk dzielny,
Ich skok weselny;
Głoszą co czują
Radość zwiastują.
I skromna trawka
Tam gdzie murawka,
Swe barwne szaty
Ubrała w kwiaty;
Wszystko powstaje,
Znak życia daje;
A lud swe głosy,
Wznosząc w niebiosy,
Z radością woła;
Korząc swe czoła:
Dzięki Ci Panie!
Za łask zesłanie;
Spraw, by z dniem wiosny
Ten duch radosny,

Co nas owionął,
 Wdzięcznością płonął,
 Ku Stwórcy swemu
 Najlaskawszemu.

Powitanie skowronka.

Witaj! witaj! piewco wiosny!
 Głos swój rzewny strój,
 Ty nadzieją Swą radosny,
 Szerzysz uciech zdroj.

Zbawcze słońko cię zwabiło,
 Wietrzyk dodał sił;
 Jakże smutno u nas było,
 Gdyś oddalon żył.

Teraz wszystko śpiew twój słucha,
 Niknie śnieżny świat;

Barwi się natura głucha,
Wita cię nasz kwiat.

Z tobą oracz piosnki swoje
Splata w rzewny ton;
Przy nich słodzi ciężkie znoje,
Wśród rodzinnych stron.

Wznoś się ptaszku w przestwór cudny,
Ściągaj tam nasz wzrok;
Bo tu więzi obraz ludny,
Smutny często zmrok.

Niech za tobą myśl podąży,
I zachęca nas;
Ziemskość zrzucić, co obciąża,
Nieba pragnąć w czas.

W i e c z ó r.

Dzień się już skończył — ustala praca,
A do spoczynku wszystko powraca.
O z jakże miłym spocznie wytchnieniem
Ten, co swą czynność zgodził z sumieniem,
Wiernie za łaski Stwórcy się wypłacił;
Dnia bez pożytku dla duszy nie stracił.

Tak i wy dziatki, w poranku swych latek,
Baczie, by z Bogiem kończyć dnia ostatek;
A każdy wieczór z rozkoszą spędzicie,
Gdy wam z dnia sprawy nie zatrują życie;
I sen spokojny przymknie wasze oczy,
I Bóg opieką ojcowską otoczy.

Zdania moralne.

Z Bogiem poczynaj wszelkie sprawy twoje,
A lekkie będą i największe znoje.

Cierpliwość jest lekarstwem, które nie za-
wodzi,
Rozpacz nietylko duszy, lecz i zdrowiu szko-
dzi.

Odplacać dobrem za złe, to czyn chrześcija-
nina,
Którętnam wzór samego Zbawcy przypo-
mina.

Kto na sławę bliźniego swe pociski mierzy,
Czerniąc go, sam się szpeci i pogardę szerzy.

Wtenczas tylko ofiara, czystą roskosz rodzi,
Kiedy, chociaż i mała, lecz z serca pochodzi.

Uciechy są to wonie, które drażnią mile,
 Lec, kiedy są zbyt częste, niszczą życia
 chwile.

Ten, co szczerze się pragnie wywdzięczyć
 bliżniemu,
 Mało mówi, a z czynem pospiesza ku niemu.

Tam to najczęściej źródło cnót wysycha,
 Gdzie górę bierze obrzydliwa pycha.

KONIEC.

SPIS PRZEDMIOTÓW.

CZEŚĆ PIERWSZA.

BAJKI.

| | Str. |
|--|------|
| Kilka słów do moich małych czytelników | 5 |
| Wstęp, do dzieci | 9 |
| Człowiek i robaczek | 11 |
| Latawiec papierowy | 12 |
| Chłopczyk i osiel | — |
| Dzicię i rak | 13 |
| Szczygieł i słowik | 14 |
| Malpka domowa | 15 |
| Pająk i mucha | 16 |
| Róża i fijołek | 17 |
| Kanarek i kos | 18 |
| Dwie myszki i kotek | 19 |
| Poduszka i worek | 20 |

| | <i>Str.</i> |
|---|-------------|
| Szych i złoto | 21 |
| Pies i pszczoła | 22 |
| Ciele | 23 |
| Motyl i pajak | 24 |
| Człowiek i cień | 25 |
| Osiel | 26 |
| Lis i wiewiórka | 27 |
| Młode myszki | 28 |
| Pszczoła i osa | 30 |
| Kamień i mech | 31 |
| Młoda małpka | — |
| Rdzawe żelazo | 33 |
| Kanarek i słowik | 34 |
| Młode pszczoły | 35 |
| Bławatek i kłos żytni | 37 |
| Młodzieniec i bańka na wodzie | 38 |
| Słonecznik | 39 |
| Wilk i jeź | 40 |
| Kanarek i wróbel | 42 |
| Żółw i żaby | 43 |
| Niedźwiedź i małpa | 44 |
| Sroka i papuga | 46 |
| Dudek i słowik | 47 |
| Wilk i prosie | 48 |
| Szpic i brytan | 49 |
| Chory i lekarstwo | 51 |

| | |
|------------------------------|----|
| Kura i jej dzieci | 52 |
| Dwie lampy stołowe | 54 |
| Potok i strumyk | 55 |
| Złodziej i echo | 56 |
| Bogacz i zdrowie | 57 |
| Lew i wiewiórka | 59 |
| Lis i indyki | 60 |
| Mysz i kret | 61 |
| Zegarek i czas | 63 |
| Jaskółka i wróbel | 64 |
| Sowa | 65 |
| Paw i jaskółka | 66 |
| Przetaki i sito | 68 |
| Człowiek i kamień | 70 |
| Kot i pies | 71 |
| Rękawiczka i but | 72 |
| Człowiek i pajak | 73 |
| Zwierciadło prawdy | 75 |

CZEŚĆ DRUGA.

POWIASTKI.

| | |
|------------------------------|----|
| Wstęp do powiastek | 81 |
| Kazio | 82 |
| Ludwiś | — |

| | <i>Str.</i> |
|---|-------------|
| Piotruś | 83 |
| Marynia w gronie starszej rodziny | 84 |
| Ludwisia | — |
| Jaś przy ogniu | 85 |
| Wybieg szkolny | — |
| Władys | 87 |
| Dzieci i nauczyciel | — |
| Tadeuszek i jego dziadek | 88 |
| Antoś w kościele | 90 |
| Dwaj zebracy i pan | — |
| Wicus | 91 |
| Franuś i jego matka | 92 |
| Przyjazd wujaszka | 93 |
| Jaś | 94 |
| Franusia | 95 |
| Dwaj bracia i ubogi | 96 |
| Oltarzyk dziecinny | 97 |
| Marynia i Adaś | 99 |
| Szlachetne dzieci | 100 |
| Józia | 101 |
| Żart | 102 |
| Leoś | 103 |
| Michaś i jego ojciec | 104 |
| Brat i siostrzyczka | 106 |
| Justynka | 107 |
| Ubogi staruszek | 108 |

| | <i>Str.</i> |
|--|-------------|
| Kwiatek zatruty | 109 |
| Broniś i Jan stary sługa | 111 |
| Jędrus w ogródku | 112 |
| Feluś i jego ojciec | 113 |
| Wezbranie Wisły pod Warszawą | 115 |
| Dzień imienin Tomaszka | 116 |
| Młodzi żeglarze | 118 |
| Waluś | 119 |
| Chwilka | 120 |
| Dziadek i jego wnuczek | 121 |
| Skoczek na linie | 123 |
| Zygmus i Jan stary ogrodnik | 124 |
| Dziecię pod krzyżem | 126 |
| Przyjaciele | 128 |
| Sternik | 129 |
| Rolnik i dwaj jego synowie | 130 |
| Modniś w okularach | 133 |
| Furman i dziecię | 134 |
| Mały ubogi skrzypek | 135 |
| Jubileusz starego sługi | 138 |
| Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie (powiastka z przysłowia) | 140 |
| Chatka nad rzeką | 143 |
| Dzień imienin Paulinki (rozmówka) | 144 |

CZEŚĆ TRZECIA.

OBRAZKI.

| | |
|--|-----|
| Pielgrzym pomiędzy dziećmi na wsi | 151 |
| Spotkanie | 153 |
| Ptasznik | 154 |
| Panicz oraczem | 157 |
| Babka przy drodze | 159 |
| Pielgrzymka gromadki wiejskiej do Często- chowy | 160 |
| Anioł ziemski | 164 |
| Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus . | 166 |
| Gawędka przy kominku na wsi | 168 |
| Okreżne | 170 |
| Druciarz i chłopczyk z piaskiem | 173 |
| Panicz i ubogi chłopczyzna | 174 |

CZEŚĆ CZWARTA.

WIERSZYKI MORALNE.

| | |
|---|-----|
| O modlitwie | 179 |
| Dwie drożki życia | 180 |
| Szacunek czasu | 181 |
| Cnota | 183 |
| Modlitwa dziecięcia za rodziców | 185 |

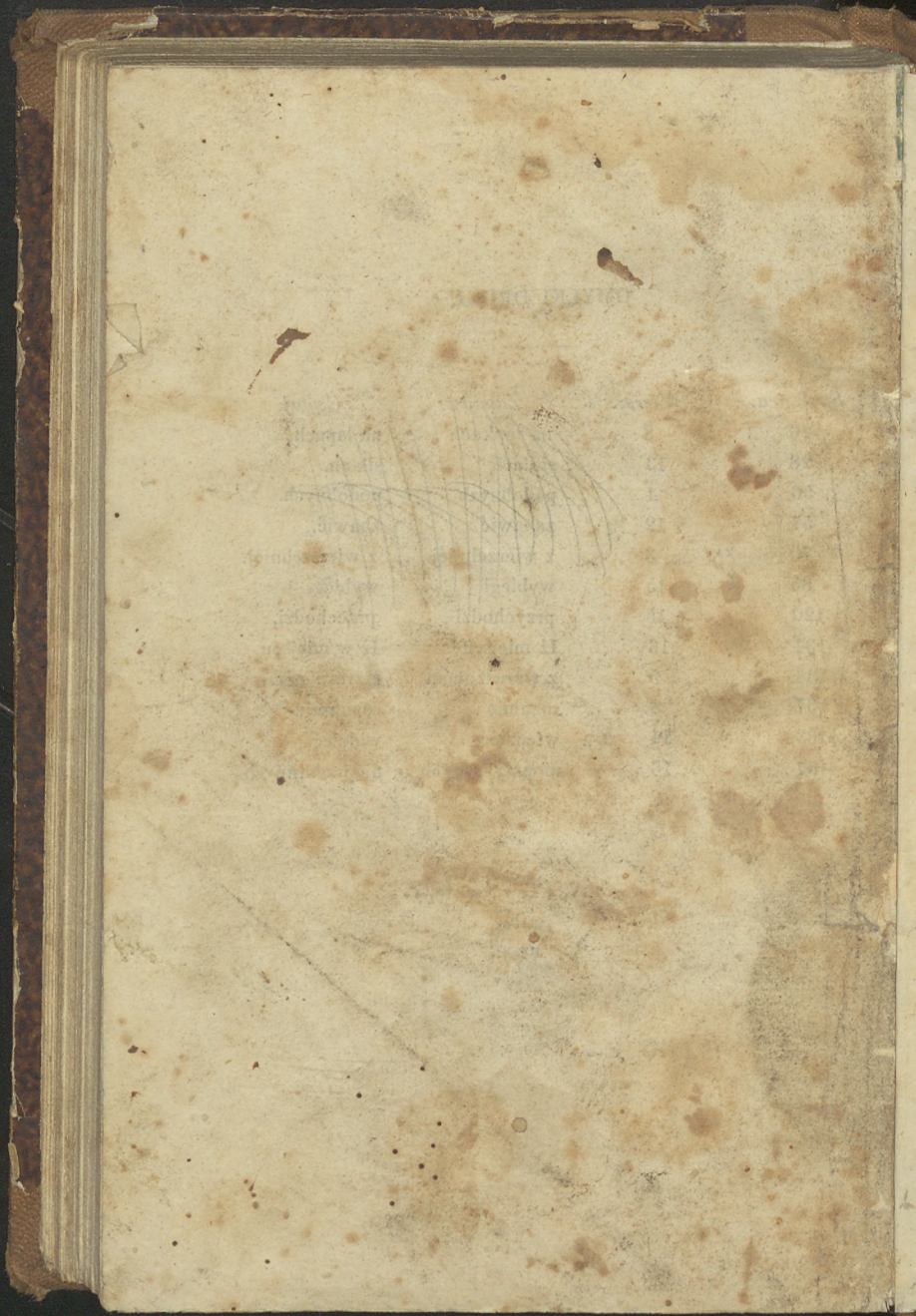
| | <i>Str.</i> |
|-----------------------------------|-------------|
| Najwyższa Opatrzność | 186 |
| Rodzice | 188 |
| O pracy, do dzieci | 189 |
| Opieka Boska | 191 |
| Życie ludzkie | — |
| Rolnik | 192 |
| Do skowronka | 193 |
| Piosnka rolnika do Boga | 194 |
| Strumyk | 196 |
| Kropla | 197 |
| Do zdrowia | 198 |
| Wiosna | 199 |
| Powitanie skowronka | 201 |
| Poranek | 203 |
| Wieczór | 204 |
| Zdania moralne | 205 |

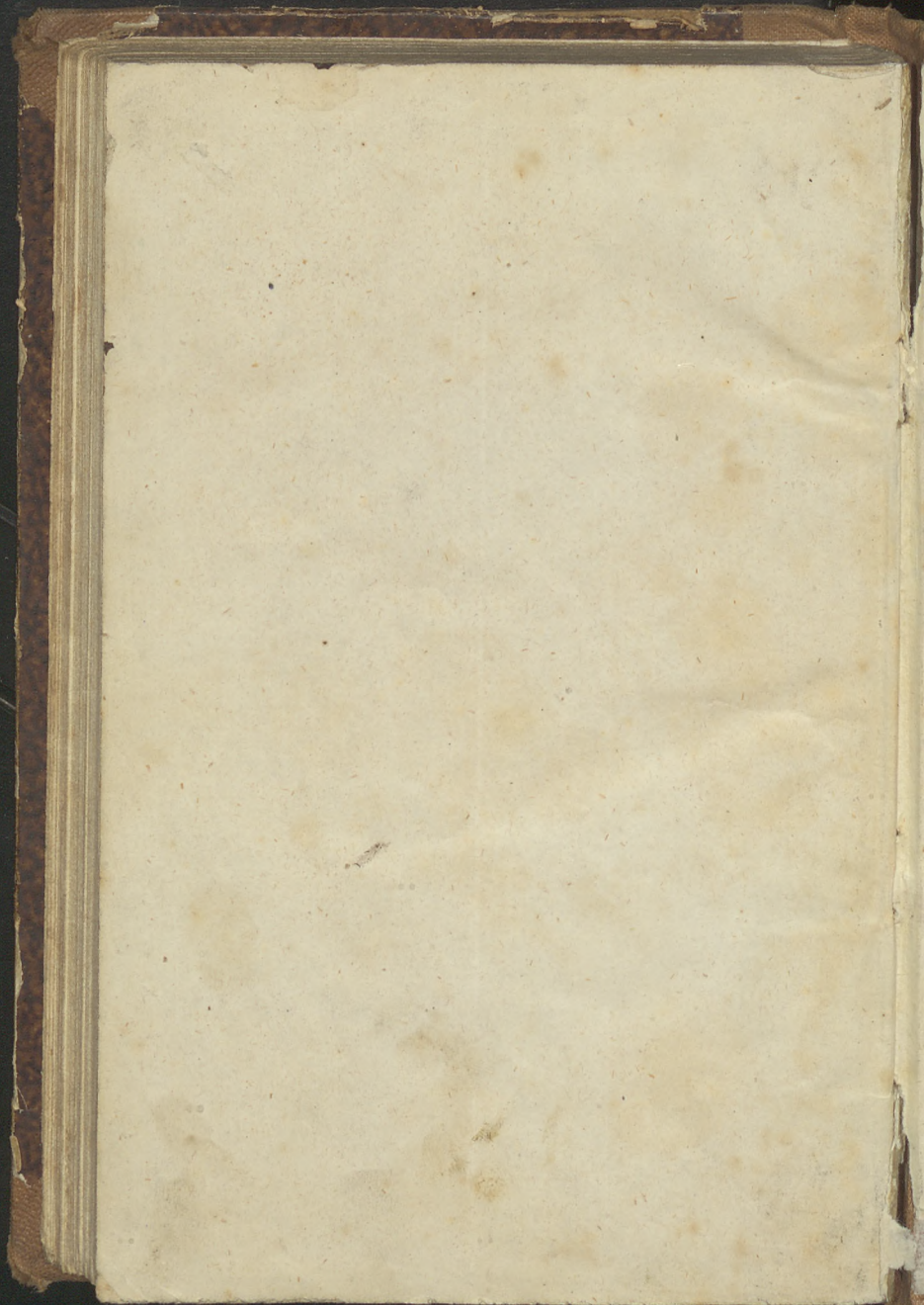
| | |
|-----|-----------------------|
| 180 | Najwyższa Opactwo |
| 188 | Robota |
| 190 | O pracy do białej |
| 191 | Opieka Boża |
| 192 | Żyćie ludzkie |
| 193 | Polnik |
| 194 | Do skowronka |
| 195 | Piękną rolnik do Boga |
| 196 | Struna |
| 197 | Króla |
| 198 | Do skowronka |
| 199 | Wiersz |
| 200 | Powinno skowronka |
| 201 | Polnik |
| 202 | Wiersz |
| 203 | Kłania |

OMYŁKI DRUKU.

| <i>Stronnica.</i> | <i>Wiersz.</i> | <i>Zamiast.</i> | <i>Czytaj.</i> |
|-------------------|----------------|-----------------|-----------------|
| 26 | 8 | na łapkach | na łapach. |
| 28 | 13 | siłlach | siłach. |
| 56 | 4 | podobnyah | podobnych. |
| 57 | 12 | zabawić | zbawić. |
| 70 | 3 | z wierzchniej | z wierszchniej. |
| 85 | 15 | wybiegł | wybieg. |
| 120 | 15 | przychodzi | przechodzi. |
| 134 | 16 | Iż miejscu | Iż w miejscu. |
| 136 | 5 | z wzruszoném | z zroszoném. |
| 137 | 8 | rozumie | rozumnie. |
| 163 | 14 | widziéc | widzić. |
| 197 | 16 | nieprzybranych | nieprzebranych. |







ANTYKWARIAT NAUKOWY

b 18152739

Ant. Wójciewicz
Kielce

03.04.2006

148,40 zł



1577193

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001001767153